Świat Kobiecy



15 LUTEGO 1930 R.
ROK X N-R 4

OSTATNIA NOWOŚĆ!!

Saers Crème 99

PARIS

65 Rue d'Avron
VARSOVIE

CRÈME SAERS „99" jest środkiem specjalnym dla bardzo delikatnej skóry.

CRÈME SAERS „99" zastępuje wszelkie perfumy, i czyni twarz Twą młodą i piękną.

CRÈME SAERS „99" czyni cerę aksamitną.

CRÈME SAERS „99" jest specjalnością bezkonkurencyjną.

CRÈME „SAERS" stosuj zawsze, a zabezpieczysz twarz przed wiatrem.

CRÈME „SAERS" uchroni Cię przed wągrami, a w tym celu stosuj go w sposób następujący:

Gdy twarz jest pokryta wągrami, należy ją natrzeć zlekka spirytusem salecylowym, przyłożyć gorący okład, poczem poddać twarz parowaniu. — Rozpylić następnie wodę kolońską na i osuszyć ją. Potem posmarować twarz kremem **„SAERS"** i zlekka przypudrować. Po 3 — 4razowym stosowaniu powyższego sposobu, twarz całkowicie się wygładzi i nabierze aksamitnego wyglądu. 1040

DO NABYCIA W DROGERJACH I SKŁADACH APTECZNYCH



Brak czasu do mycia włosów?

Niema żadnego więcej powodu odmawiać zaproszeń albo rezygnować z zabawy, jeśli posiada Pani Suchy Shampoon z Czarną Główką!! W przeciągu 3 minut uzyska Pani, przez zwykłe napudrowanie i wyszczotkowanie, najpiękniejsze włosy! Pudełko za zł. 2,50 wystarcza na szereg miesięcy. Do gruntownego mycia głowy prosimy używać tylko „Shampoon z Czarną Główką"!



Suchy Shampoon
z Czarną Główką
Piękne włosy w 3 minutach.

Wszędzie do nabycia; gdzie niema, wprost u firmy
apt. DRANCZ i Ska — Bielsko

1038

„MONIUSZKO"

LWÓW, UL. ZIMOROWICZA 10. TEL. 35-54 49-71

POLECA

FORTEPIANY ▪ PIANINA ▪ HARMONIE

nowe i używane w różnych cenach, na dogodne spłaty. Wyłączne zastępstwo światowej sławy fabryki: SCHWEIGHOFERA 2·800 zł. PIANINA nowe, znakomite, wiedeńskiej HOFMANNA. 1042 **Długoletnia gwarancja fabryczna**

KOŁDRY MATERACE PIERZE

Władysław WEBER Lwów Batorego 2.

867

WE WŁASNYM INTERESIE

prosimy powoływać się przy zamówieniu na ogłoszenia w „ŚWIECIE KOBIECYM"

WŁASNY WYRÓB

KOŁDRY - MATERACE

Gotowe Prześcieradła	pod kołdry	od zł.	11·50
„ „	na pościel	„ „	5·60
„ Poszewki		„ „	3·—

PŁÓTNA, SZYFONY, OBRUSY, RĘCZNIKI

CENY FABRYCZNE — **CENNIKI BEZPŁATNIE**

KOCE, KAPY, FIRANKI, DYWANY I T. P. — najtaniej sprzedaje

FABRYKA POŚCIELI

A. PIETRUSZEWSKI — M. MLEKO

LWÓW, UL. KORALNICKA L. 6 — TELEFON 37-72

929

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA
N-R 4 — ROK X
WARSZAWA — LWÓW
15 LUTEGO 1930 ROKU

O WYCHOWANIE PACYFISTYCZNE

Dawno już żaden artykuł nie trafił mi tak do serca i do przekonania jak ten, w którym utalentowana pisarka pani Kazimiera Alberti nawołuje do zmiany naszych metod wychowawczych.

Przeszło dziesięć lat minęło od czasu okrutnej, morderczej wojny, stanęło przed nami tyle zadań konstruktywnych do spełnienia, tyle prac związanych z odbudową państwa od podstaw, a my wciąż trwamy w nastrojach militarnych.

Życie nasze jest stale nastawione na czyny wojenne, w nich widzimy jedyną zasługę i chlubę, co gorsza, że stan ten przedłużamy w nieskończoność, wychowując nasze dzieci w rozlicznych formacjach wojskowego przysposobienia.

Do wychowawców właśnie należałaby zmiana owej psychologji wojennej na inną: radosną i twórczą, oni wyplenić muszą głęboko zakorzenione w duszach ziarna nienawiści i niechęci wzajemnej, zniszczyć ów instynkt walki, odziedziczony od człowieka pierwotnego. Wszakże świat idzie obecnie w tym kierunku i bodaj Polska, w tym pochodzie ku lepszej przyszłości, nie była zapóźniona.

Zdawało się, że skauting, przejęty od zdrowego, do praktycznych celów zaprawionego społeczeństwa angielskiego, odegra poważną rolę wychowawczą. — Karność, ćwiczenia na świeżem powietrzu, wzmacniające siły, zgoda, koleżeństwo — mogły tu wywrzeć wpływ pożądany. Dla naszych zaś specjalnie zaniedbanych, przez wiekową niewolę, stosunków, największe znaczenie miało tu wyrabianie spostrzegawczości, a co za tem idzie i pragnienie zaradzenia brakom, których jest u nas pełno na każdem polu. Jeszcze przed wojną Koło młodzieży płci obojej, kształcącej się w Wiedniu na wyższych uczelniach, wydało odezwę, w której zwracało uwagę na panującą u nas pod tym względem obojętność.

„My młodzi", piszą tam, „w naszych wycieczkach po kraju, spotykamy walące się chaty, dzieci bawiące się przy kałużach, połamane drzewa, zniszczone płoty i nie obchodzi nas to nic zgoła. A do młodych należy tworzenie naszego, lepszego życia! Jak się wyrzekniemy tej misji, zmarnujemy kraj i siebie."

Odezwa ta przebrzmiała bez echa. Jakże bowiem jest u nas po tej wojnie, która przyniosła nam odzyskanie niepodległości?

Rozwinął się nadzwyczajnie skauting, a jego dzielne drużyny, tak męskie jak żeńskie, dały niejednokrotnie dowody ofiarności, dzielności w czasie walk, czyto przy obronie Lwowa czy Wilna. Pełno po kraju obozów letnich, w których młodzież szkolna odpoczywa i oddycha po całorocznych trudach. Czy jednak jej dążenia i nastroje zmieniły się w czemkolwiek, czy odzywa się wśród niej echo odezwy młodzieży wiedeńskiej? Ze smutkiem stwierdzić należy, że trwa stale obojętność na stosunki panujące w kraju, w jego wsiach i miasteczkach.

Oto parę przykładów.

Malownicza wieś w Krakowskiem. Piękno okolicy ściągnęło do niej liczne zastępy obozującej młodzieży płci obojej. Skauci rozłożyli się w lesie, skautkom oddano pole przy dworze. Rozkosz; balsamiczne powietrze, rzadkie drzewa i kwiaty. Ale za parkiem tulą się chaty chłopskie. Wieś nie jest wcale ani ciemna ani zacofana. Pomimo, że zagrody są niewielkie, składają się z 5—10 morgów, zdołano sobie zorganizować 5-oddziałową szkołę i postawiono piękny dom ludowy z drobnych, latami zbieranych, składek. Ale ściany to jeszcze nie treść, która je zapełnić winna. A tą treścią byłyby odczyty i pogadanki, gdyby do nich chętnych znaleziono. Tymczasem w domu ludowym jest pusto i głucho.

Naraz przybyło do wsi tyle inteligentnej młodzieży, już nie będzie kłopotu, ruch zapanuje w stworzonej z takim trudem instytucji! Tymczasem nadzieje się rozwiewają. Młodzież „nie ma czasu" do zwiedzenia organizacji chłopskiej, pomimo że jest tam jeszcze kasa pożyczkowa i piekarnia współdzielcza, cały dzień bowiem zajmują jej „zbiórki", tropienie niewidzialnego wroga i mustra, te wszystkie zajęcia, o których tak barwnie opowiada p. Alberti.

Drugi, skromniejszy przykład.

Letnisko podmiejskie. Lesista okolica ściąga ludzi wyczerpanych i osłabionych, spędzających czas cały w cieniu drzew szpilkowych. Rozstawiono wszędzie ławki wypoczynkowe. Wtem przyszła burza, wywróciła je, zerwała kładkę przerzuconą nad potokiem. W letnisku są obozy skautowskie; na pewno szkoda będzie szybko naprawiona. Nic z tego. Mija dzień, drugi, trzeci, ławki leżą na ziemi a są bardzo solidne i ciężkie, potok zagradza drogę. Młodzież widocznie nie poczuwa się do tak pospolitego zajęcia, ona ma inne wyższe wojenne cele.

Na miłość boską, przeciwstawmy się tym nastrojom, my matki, my wychowawczynie. Na szeroką arenę świata, na której ludzie najlepszej woli wykuwają z trudem pokój i ogólne rozbrojenie, wnieśmy, ze swej strony, to przeświadczenie, że nie zostanie on nigdy osiągnięty, dopóki nie zmieni się psychika ludzka, urabiana od dzieciństwa w przeciwnym kierunku. Na kongresach wychowania moralnego odzywają się już głosy, że trzeba w inny sposób nauczać historji, tak aby ona nie była jedynie dziejami panowań i wojen, ale obrazem postępu kultury i ogólnego uspołecznienia.

I kobiety niemieckie wystąpiły tu ze swojem zdaniem, tem ważniejszem, że pochodzi ono ze społeczeństwa zatrutego militaryzmem i grożącego ciągle zamąceniem pokoju. Praca dla dobra ogólnego, to takie rozległe pole, pomieszczą się na niem wszystkie ambicje, wszystkie uzdolnienia. A w Polsce w szczególności. Tyle w niej ruin do odbudowania, tyle win i błędów do naprawienia, starczy jeszcze pracy dla kilku pokoleń.

A więc nie przygotowaniami do walki, ale ideą współpracy i zgodnego współżycia narodów trzeba nam wypełnić nowe dziesięciolecie naszej niepodległości.

I. W. KOSMOWSKA

HERMINJA NAGLEROWA



Mówi się o dzisiejszej literaturze, iż jest ona bardziej niż kiedy autobiograficzna i bynajmniej nie zamaskowana. Rzadkie są książki, w których autor nie opowiada bezpośrednio o sobie, rzadszy to jeszcze wypadek, jeśli nie wychodzą one z pod pióra kobiecego. W dwóch ostatnich zbiorach nowel: „Motyw księżyca" i „Matowa kresa" Herminja Naglerowa porusza różne tematy, ale grupuje je w ten sposób iż stanowią całość, przez wspólnie łączącą ideę. Nowele te napozór wydają się być szczytem objektywizmu. Jednak czuje się w nich autorkę. Przez swój stosunek do bohaterów przegląda ona równie silnie jakgdyby pisała o sobie — pod różnemi postaciami i różnemi nazwiskami widnieje jej dusza i jej serce.

Niektórzy sądzą, iż obecnie artysta obywa się w pracy twórczej bez współudziału serca. Bynajmniej tak nie jest i oto jeden tego więcej dowód na Herminji Naglerowej. Serce to bardzo stara rzecz, ale jedynie nowa, jaką zastosować można do książki. Tylko sposób w jaki się z niego korzysta jest dziś inny, niż dawniej. W dzisiejszej praktycznej epoce uczuciom nie pozwala się przychodzić do głosu, posługujemy się pośrednictwem faktów i życiem martwych przedmiotów. Ale ponieważ stosunek do nich jest u każdego pisarza inny, więc i tą, okrężną drogą, wyraża się jego subjektywizm i wyrażać się może bardzo znamiennie.

Z nowel Herminji Naglerowej widnieje wielkie współczucie, z jej metody pisania wynika to, iż wypowiedziane jest ono *en sourdine;* czuje się jej powagę w stosunku do życia, jej mądrość może smutną, ale pogodną. Spokój, rezygnacja, czy tylko równowaga? Bez buntu poddanie się prawom rządzącym ludźmi, prawom, które tkwiąc gdzieś bardzo głęboko, ujawniają się nazewnątrz w formie konkretnej. Świat widomy rozstrzyga przecież najzawilsze sprawy wewnętrzne i jest ich obrazem.

„Motyw księżyca" — to problem winy i kary, pojęty jako nieubłagany skutek czynu. Jeśli nikt kary człowiekowi nie zada, sam ją sobie wymierzyć musi.

Weźmijmy ostatnie z tego cyklu opowiadanie: „Człowiek z więziennej wieży", mojem zdaniem najsilniejsze i najlepiej umotywowane. Do wieży, w której przed wiekami jakiś rajca miejski zamordować kazał niewinnego człowieka, sprowadza się jego potomek i imiennik, handlarz starożytności. Niegdyś miał swój kramik nad Sekwaną, a teraz wraca do rodzinnego miasta naciągać naiwnych, sprzedając obok dzieł sztuki i rzeczy istotnie wartościowych, fałszywe antyki i książki pornograficzne. Zżywszy się z wieżą, zainteresowany jej dziejami, pisze dzieło w którem wydobywa najaw jej haniebne tajemnice. Przeszłość ta, tak dalece na nim zaciążyła, iż, gdy los zetknął go ze spadkobiercą i znów imiennikiem człowieka zabitego przez przodka — sam go zabija. Przez łuk wieków spotkali się ci dwaj ludzie i zamiast naprawić krzywdę jeszcze się ją pogarsza, idąc śladami dawnej zbrodni.

Jest to zemsta wieży za ujawnienie jej tajemnic wiekowych, jest to zarazem straszliwy wpływ miejsca i poprzedników. Hańby ich szukał — do mordu go przywiedli.

Ale człowiek niewolnym będąc, jeśli chodzi o czyn, ma ręce rozwiązane jeśli chodzi o wymierzenie sobie kary. Jakkolwiek nikt nigdyby nie wiedział, stary Rufius żyć tak jednak nie może. Radzi się serca co zrobić należy. Serce zadecydowało — nie wolno zabijać. Z wysokości wieży rzuca się w dół. Biały śnieg przebaczenia spadł na jego głowę.

Rzecz pełna powagi, bez żadnych efektów, zwarta i mocna, czyni niezmiernie silne wrażenie. Wieża, dawne dzieje odgrzebane po wiekach, tak samo są żywe i bliskie swą grozą, jak i historja dzisiejsza, już niby na naszych oczach się rozegrywająca. Zdania są składane ze słów, równie jak materjał z którego powstała wieża, ciężkich, ważkich i mają one tę samą barwę, krwawo-brunatną, niby stare cegły przybierające z wiekiem krwawordzawą patynę.

„Matowa kresa"... Życie ludzi szarych. Najbardziej szare życie ma swój płomyk — nadziei, miłości, cierpienia, pożądania nowych wrażeń; chwilę jasności, chwilę możności złudzenia — które jednak szczęściem się nie stanie.

Ludzie tu są zwykli — ale każdy z nich przechodzi jakąś tragedję zabarwiającą szarość żywą krwią — wówczas rodzą się uczucia napozór przekraczające granicę ich wrażliwości.

Bywają np. współczucia tak proste, że aż nieprawdopodobne: opieka, jaką przyjaciel otacza przyjaciela, daje żonie jego, pracującej w tym samym pokoju, za przepierzeniem i będącej świadkiem tych serdeczności — złudzenie iż to całe poświęcenie jest dla niej.

„Ciotka Julja", stara panna, grzebie w swych kufrach i wydobywa z nich niemodne suknie. Staje się młodą, może tak młodą, jak nigdy nie była?

Rzeczy są żywe, dlaczegożby uczucia wrócić nie mogły?

„Czyjeś ręce". Mały urzędniczek pocztowy, aby umilić sobie nudną pracę, bawi się w grafologa i obserwuje ręce, powierzające mu skarby swych listów, z kształtu ich bada charakter i zdolność do uczuć. Raz uwagę jego zwracają ręce białe i pachnące. Po sposobie adresowania i ciężkości kopert poznaje dramat — naruszył tajemnicę pieczęci. Nie był niczem, jak pośrednikiem przez którego przechodziła tajemnica tych rąk, a teraz wie, iż ich już nigdy nie zobaczy.

Bardzo subtelne jest zakończenie tego romansu duszy, bez żadnego pośrednictwa ciała. Zresztą takie wszystkie są romanse, w tych nowelach Herminji Naglerowej.

Oto jeszcze „Za ramą lustra". Historja, raczej karta z dziejów życia pianistki, marzącej niegdyś o „wysokich estradach", którą los skazał na dawanie lekcyj muzyki i słuchania gam „idących wolniutko jak chory po schodach".

Nigdy nic nowego. Życie swoje znała napamięć: jak przepis na tort i „Patetyczną" Beethovena, anegdoty męża i karlsbadzki serwis w bukieciki. Czegoż to jeszcze przyjdzie mi się nauczyć na wieczne pamiętanie? Dzień podobny do drugiego, chociaż za ramą lustra, w którem siebie tylko widzi, dzieją się rzeczy bardzo różne. Niekiedy tyle pracy w domu, iż narzeka że nie ma drugiej pary rąk. Ale problemy najważniejsze do rozstrzygnięcia to jaki dać sos do sztuki mięsa i jaki krawat kupić mężowi na gwiazdkę? „Krawat niby wesoły sztandar nieznanego mocarstwa".

Wieczorem, w cieniu lampy szyjąc, słucha nieskończonych opowiadań Kazia o jego podbojach wojennych i miłosnych, z czasów gdy się jeszcze nie znali. Wówczas myśli: poco go pokochałam? W wieczór grudniowy opowiada jej coś, czego jeszcze nie zna i co nie jest — jak narazie myślała — blagą. Coś co przeżył przy niej — niedawno. Gdy patrzyła na życie w ramach zwierciadła, dramat przeszedł przez jej dom. To nic. Tej nowej lekcji szybko się nauczy! „Jak „Appassionatę", jak przepis na tort"...

Herminja Naglerowa należy do młodego pokolenia literatek naszych. Wybija się wśród nich silnie zarysowaną indywidualnością, zarówno w wyborze tematu jak i w jego traktowaniu. Jest to pisarka wyrobiona, świadoma swych sił i możliwości, umiejąca operować słowem i czynić je posłusznem sobie narzędziem. Spojrzenie jej na świat jest bardzo ciekawe, ujawnia się porównaniami oryginalnemi i świeżemi.

ZYGMUNT PRZERĘBSKI

OBRAZY MIECZYSŁAWA WYSOCKIEGO

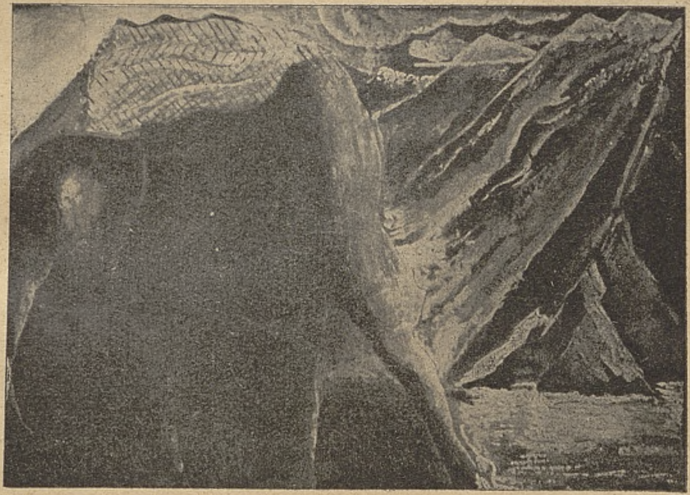


1



2

1. PORTRET RODZINY A. SOBOLÓW
2. RIVA SCHIAVONI W WENECJI (tempera)



3



4

3. MIŁOŚĆ GÓRSKA (tempera)
4. DE PROFUNDIS (PSALM) (tempera)



5



6

5. PORTRET PANA A. KRZYWOBŁOCKIEGO (o'.)
6 PORTRET PANA J. JANISCHA

JANUSZ STĘPOWSKKI
(Oran, w grudniu 1929)

z cyklu:

„POLACY W LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ"

P. HELENIE FILOCHOWSKIEJ I JEJ MĘŻOWI
P. VINCENT ST. DIZIER, PUŁKOWNIKOWI
WOJSK POLSKICH I MAJOROWI FRANCUSK.
ZA ICH OPIEKĘ NAD POLAKAMI W LEGJI

LEGJA CUDZOZIEMSKA

(En avant à la baionette!...)

Dżebel [1] podchmurny, czarna wieża Babel,
pomnik narodów skłóconych nawzajem,
w pół przepasany, szumi w błysku
szabel —
Wołgą i Wisłą, Renem i Dunajem — —

Pochód straceńców przegranych w ha-
[zardzie,
tłum biczowników, który za swe grzechy
teraz sumienia swe tarza w pogardzie,
sprzedane głupio za chwilę uciechy — —

Rzesza bezdomna, co wyje, skowycze,
klnie codzień banknot szatańskiego paktu
i codzień smaga spotłe ciało biczem
za pięć lat prawa i podpis kontraktu — —

Niemcy, Polacy, Węgrzy i Chorwaci,
biali Rosjanie! — wszyscy bez ojczyzny —
gracze, bankruty, których los spsubracił
lub krawcy w duszach szyjący swe
[blizny — —

Nieznani sobie, z ciemności wylęgli, —
kpy okłamane przez własną ułudę,
razem do taczek ze sobą zaprzęgli:
naplewatienstwo, weltschmerz, spleen
[i nudę — —

Niema w nich ducha lecz jedno jest zwierze,
które się zrywa na okrzyk podniety:
— Za białe kepi nad twardym kołnierzem, —
— za życie przyszłe — naprzód —
[na bagnety!...

Nikt tych tajemnic stujęzycznej wieży
ze zmarszczek Sfinksa nie zliczy, nie
[zgadnie, —
tylko w Dżihani [2] wiatr, co w piaskach leży,
w Ait Jakkoub [3] wydmy z garścią kości
[na dnie.

CAFARD

Cafard [4] od słońca na popiół spalony,
cafard, zły robak, co w sercu się miota,
w Sidi-bel-Abbès [5] na piasku czerwonym,
wypisał kolcem kaktusu: tęsknota...

Słowa na ustach umarły, jak tchnienie,
w pożarze zwiędły i wyschły w upałach,
kiedyś je matka nazwała imieniem,
ziemia, ojczystą mową kołysała — —

Oczy nie proszą o rosę w rozpaczy,
niebo jest nieme i białe, jak kreda,
jeden cień kepi na murach się znaczy, —
— serce, którego świat wichrom zaprzedał.

Sahara chłonie łzy wszystkie i dusze,
zręby Atlasu je niosą w otchłanie,
a pod żarzącym słońca pióropuszem,
z oazy patrzy w dal Allah w turbanie.

Twarz ma sczerniałą i duma głęboko,
gdy cafard pije sok z palmowych liści,
wzdycha i budzi westchnieniem scirocco, [6]
a kiedy spocznie, skomli z nienawiści...

— Zemsta jest świętą i ciąży nad światem
jak szala skrzepłej mądrości w purpurze,
— dla psów niewiernych, psem wiernym
[i bratem,
jest cafard w kepi, zamknięty w mundurze.

POCZTA Z POLSKI!

Raz tylko jeden odkrywa świat głębie
kiedy nad wyschłe wybrzeża Mekkery
przyniosą pocztę, jak śnieżne gołębie,
dwa wychudzone, brudne dromadery.

O, wtedy wszystko się w łaskę zamienia,
powietrze dzwoni, jak blacha mosiężna,
wieszcząca w Mekce ciszę objawienia,
dusza się kaja słaba, niedołężna...

Lepsza — od mściwej mądrości proroka,
czystsza — od fałdów białego burnusa,
w szeregi Legji zstępuje z wysoka
twarz miłosierna słodkiego Chrystusa.

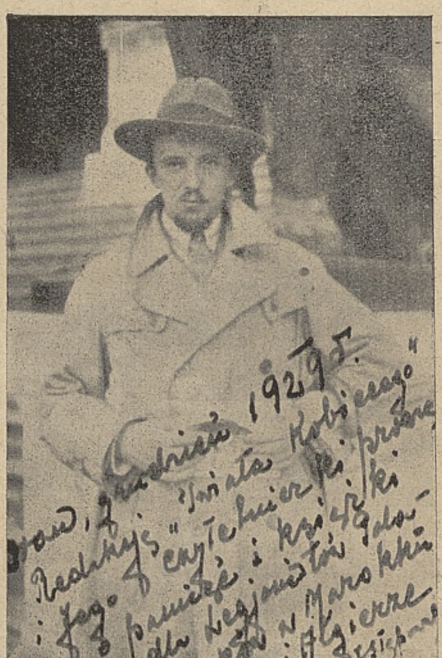
Zmięte koperty i starte nazwiska
w różańcu liter, jak woda źródlana,
gaszą pragnienia, wołają, jak z bliska —
Polska z obrazka, — sen, — fatamorgana.

Oczy w przestrzeni widzą, poznawają, — —
dym, bielejący nad słomianą strzechą,
pola, gdzie świerszcze na skrzypeczkach
[grają,
las, kłaniający się zakwitłym wiechom...

...I sad i ogród, za nim w rzędzie drzewa,
jak kraśny orszak na szumne wesele, — —
z zapachem siana wiatr z dworca za-
[wiewa
woń pieczonego chleba na niedzielę — —

Złoci świt letni kłosy żytnich stogów,
nad drogą wierzby śpiewają roraty,
przy studni konie się poją, a w progu,
ojciec przystanął i otwarł drzwi
[chaty — —

Jak zwykle, z rana, wypatruje syna
gdy na gościńcu się mgławią opary,
jak wczoraj, kiedy list pisać zaczynał
z trudem bo wilgły mu wciąż okulary.



Nad literami pisanemi w niebie,
skarga, jak skrzydła aniołów zawisła:
— „Doma modlima sie wszyscy za ciebie,—
w chacie cie niema, zabrała cie Wisła..."

MADAME LALLA

P. Helenie Filochowskiej

Ach, Madame Lalla [7] nie dba o chimery,
suknie i plotki, zwycięstwa i gaffy,
wie, że żorżety, żaboty, jumpery,
nie zamkną świata całego do szafy.

Nie gości panów w wykwintnym salonie
i na five-o'clocki nie zaprasza panie,
nie zna się całkiem na zwykłym bon
[ton'ie
— bo Madame Lalla pracuje w Oranie.

Znają ją w gmachu poczty i w szpitalach,
w polu, w obozie i w domu — kosza-
[rach,
matką jest dobra siostra Madame Lalla,
o wszystkiem myśli, o wszystko się stara;

W duszach cierpiących i zamarłych
[twarzach,
pod sztandarami stujęzycznych znaków,
stała się w Legji, — jak z elementarza
Polską, — dla kilku tysięcy Polaków.

Codzień im milszą nowinę przynosi,
gładzi lub pieści rany, epolety,
i codzień znowu o cud Boga prosi
by zesłał polskie książki i gazety.

A gdy nadejdą, jak chleb je rozdaje
wśród rzeszy głodnych, z uśmiechem
[skrzydlatym,
bo w ich stronicach ukryła zwyczajem,
przysłane z Łomży zasuszone kwiaty.

Niechże im mowę rodzinną przypomną,
i niechaj powie im mazurska gleba,
że na ojczyznę przez mękę ogromną,
w niewoli, w walce zasłużyć wpierw trzeba.

Niech zrozumieją ślepcy uzdrowieni,
niechaj posłyszą biedni, niemi, głusi,
że dzisiaj zawsze się w jutro odmieni,
że za noc cierpień zmartwychwstać dzień
[musi...

Nigdy im jednak nie wspomni z wyrzutem,
że nad te kwiaty banicję wybrali
wszak zna ich życie i żałosną nutę,
w piosnce o białem kepi Madame Lalli.

Tylko gdy myśli nad swem biurkiem zawrze
i pomknie piórem do Bedeau [8] na
[cmentarz,
słyszy w pustyni głos: — Polsko, czy zawsze
o swoich synach jednako pamiętasz?...

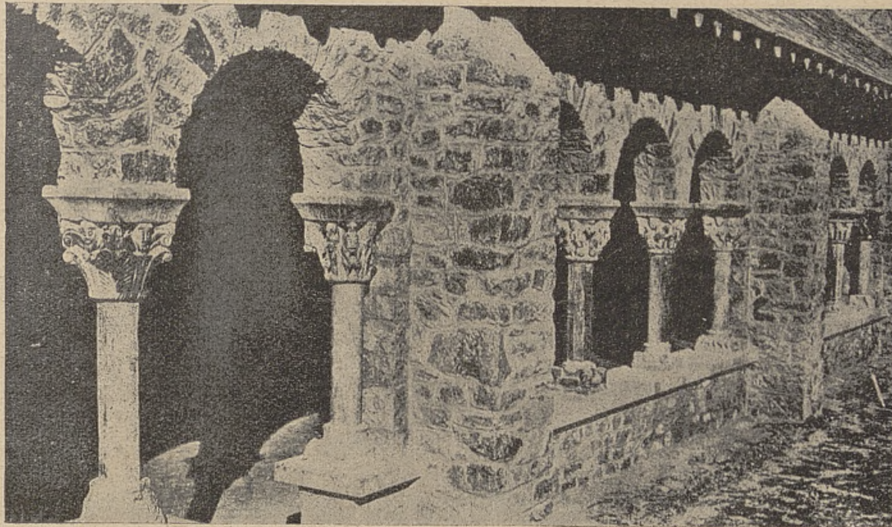
Proszą ją dusze w snach pokutujące,
usta spieczone, które wicher spala:
— Zdejm ołów z nieba, daj prawdziwe
[słońce,
bielsza od kepi, siostro Madame Lalla...

I wtedy twarz jej, niby słońce świeci,
a w swym pokoju, z ulicy zebrane,
głaszcze u kolan, szczęśliwe, jak dzieci,
bezdomne koty i psy zabłąkane.

[1] Dżebel — po arabsku Djebel — łańcuch skał.
[2] Dżihani — po arabsku Djihani — miejscowość położona w okolicy Tafilaletu (600 km na południe od Oranu)
[3] Ait Jakkoub — również w okolicy Tafilaletu.
[4] Cafard — powszechnie używane w szeregach Legji Cudzoziemskiej określenie depresji duchowej; robak tęsknoty, rozpaczy i nudy.
[5] Sidi-bel-Abbès, — miejscowość niedaleko Oranu, gdzie mieści się dépôt I p. Legji.
[6] Scirocco — gorący, jak roztopiony ołów, wiatr pustynny, ciężki od tumanów piasku i piaskowego nalotu, w którym oddychać nie można.
[7] Lalla — po arabsku — pani.
[8] Bedeau — miejscowość na południe od Sidi-bel-Abbès, gdzie znajdują się koszary I p. Legji Cudzoziemskiej.

CESARZOWA HISZPANJI

Rika, córka Władysława II, wygnanego ks. polskiego i Adelajdy, wyswatana przez papieża Eugenjusza III, poślubiła Alfonsa Kastylskiego, zwycięzcę Maurów który zjednoczywszy prawie wszystkie królestwa Hiszpanji pod swem zwierzchnictwem, ogłosił się w r. 1135 cesarzem wszej Hiszpanji. Po jego śmierci, wyszła za Rajmunda Berengara IV hr. Prowancji, a wreszcie za Rajmunda V hr. Tuluzy. Ostatni raz spotykamy ją w r. 1178 w Arlu na koronacji cesarza Fryderyka I.



KLASZTOR W PIRENEJACH

W sierpniu r. 1152, w słynnej katedrze w Spirze, odbywa się ślub Riki. Sam cesarz z całym dworem, jadąc z Ulmu na sąd do Wormacji, oddaje krewniaczkę posłom Alfonsa.

Ślub zapewne podobny innym średniowiecznym ślubom. Tłumy zalewają plac. Brama katedry zamknięta. Jak zwyczaj każe, może sama matka Agnieszka, w pysze rozkwitła, przywiodła córkę, dzieweczkę jasną, która włosy dziś rozplotła po raz pierwszy, złotą nitką przetkała, grzebieniem z kości słoniowej spięła. Rika strojna w biały samit, kwieciem haftowany, w Persji zdobyty, rękawy od łokci do ziemi spływają, na ramiona zarzuciła płaszcz z popielic w szachownicę szyty, może na czerwono brzegiem farbowany. A na licach jej niema szafranu jak u innych pań, jeno młodość sama róże kładzie. Rękę ma bez rękawiczki, bo dzieweczka a nie wdowa. W ciszy, sam arcybiskup nowożeńców o zgodę pyta. Alfonsa zastępuje choćby Gwilem Montferrateński, wieczny pośrednik między Wschodem a Zachodem, albo inny książę. Arcybiskup odczytuje pytania, czy niema przeszkody kanonicznej: wieku, pokrewieństwa, wiary, czy czas jest sposobny, czy nowożeńcy kąpiel odbyli cielesną i duszną? Następnie matka rękę córki w rękę młodego kładzie, który w imieniu Alfonsa przysięga: „Na zawsze, w wierze Boga i mojej własnej, zdrową czy chorą przysięgam ciebie zachować", i pierścień wkłada kolejno na trzy palce prawej ręki a wkońcu na serdeczny palec lewej: „Tym pierścieniem poślubiam ciebie, w ciele mojem czczę ciebie i dobro moje ci oddaję!" Odtąd jest „pierścieniem poślubiona", otrzymuje jeszcze trzy symboliczne denary w złoconym woreczku od męża. Księża okadzają młodych, brama katedry się otwiera: na trony ją prowadzą sieść. Przy „Ofiarowaniu" dary bogate na ołtarzu złożą — na „Sanctus" krzyżem legną, rycerze nad nimi tkaninę purpurową rozciągną, zaś Arcybiskup błogosławić będzie: „Boże Abrahama! Boże Izaaka! Boże Jakóba, rzuć w serca ich ziarno życia wiecznego, aby Jezusowi byli mili w ciele i w duszy." Pan młody od biskupa pocałunek pokoju bierze, młodej go oddaje. Poczem wszyscy do wyjścia się tłoczą, kuglarze i piszczkowie przodem gonią, wiodąc orszak do koni. Gromada młodzieńców kadzielnicami ich okadza. Wszyscy śpiewają:

„Wszystkie drogi rozkwitnąć powinny dokoła,
Gdy tak śliczna młoda wyjdzie z kościoła,
Powinny kwitnąć i ziarnem sypać obficie,
Gdy tak cudna młoda odchodzi w życie."

Po ślubie obsypiny gości i uczta.

— — — — — — — — — — —

Cesarz Fryderyk obdarzył Rikę hojnie. Uwiozła pewnie cały skarb w emaljach, relikwiarzykach i szkatułkach reńskich, które w XII wieku są jakby anielskiemi rylcami rzezane w złocie, a jechała z nią drużyna śląska, wśród której może był ów legendarny rycerz śląski, Bartłomiej z Nowego Dworu, który na siedem lat w Andaluzji zaginął, aż się żonie czekać odechciało.

Którędy Rika jechała? Wiemy, że jechała od Spiry a przybyła do Hiszpanji przez Burgos. Ponieważ jechała raczej przez zależne od cesarstwa kraje burgundzkie i nadreńskie, niż przez podrażnioną Francję i pełną zamieszek Akwitanję i Nawarę, dodawszy do tego związki Montferrateńców z Montpellier i nabożeństwo Piastów do św. Idziego, przypuścić mogę, że obrała główny, niezmienny szlak pielgrzymi do św. Jakóba Campostelskiego, szlak I-szy: przez Arles, St. Gilles, Montpellier, Tuluzę i Port d'Aspe, czyli przełęcz Somporcką. Podróż trwała dwa miesiące. Może się u grobu św. Idziego pokłoniła, pierwszy raz przez dziedziny prowanckie jadąc, które we wrześniu najbardziej swoisty czar, niczem nie oddany a władczy wydzielając, pewnie już wówczas podbiły serce przyszłej pani, księżniczki mglistego, wilgotnego Krakowa.

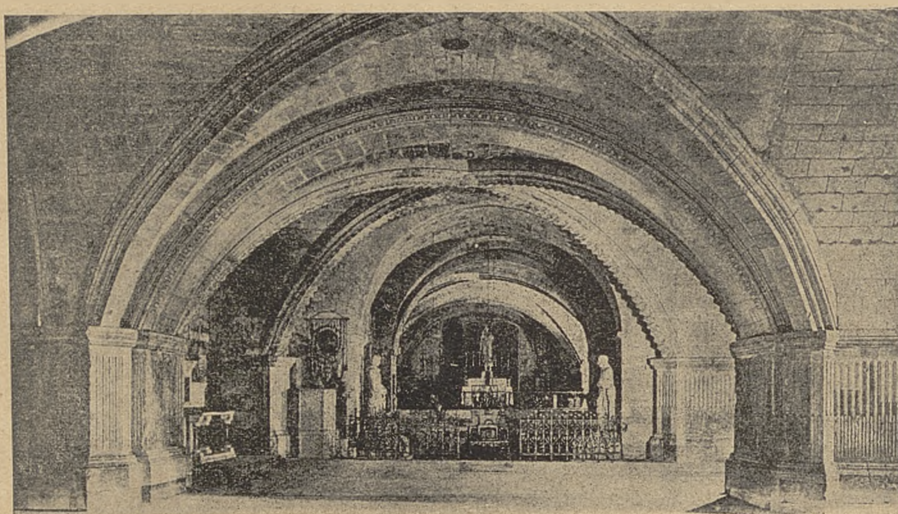
„Czerwony wieczór a biały poranek, oto pielgrzymki dzionek", mówi *Przewodnik pątników*.

Chętnie wyobrażam sobie, jak witał Rikę, w przejeździe przez Tuluzę nowy aljant Alfonsa, osiemnasto-



KOŚCIÓŁ ŚW. IDZIEGO, MIEJSCE PIELGRZYMKI PIASTÓW (XII w.)

letni Rajmund V, kochający się w przepychu. Jak nieco później, dla Konstancji francuskiej, pewnie i teraz cztery dziewice okryte klejnotami, baldachim nad jej głową niosły, tysiąc dzieci w królewskich szatach chwalbę jej śpiewało, w pochodzie triumfalnym jechało siedm grzechów głównych, lenistwo na żółwiu, zmysłowość na ośle, cnoty teologiczne w bieli za niemi. Czy nie tam nastąpiło to opóźnienie, które kazało całej Hiszpanji kilka tygodni w Valladolid na Rikę czekać? Może urok północnej dzieweczki (zwanej później przez poetów „fachura” = urok, czar) oczarował już wtedy Rajmunda, z którym się po latach na swoje nieszczęście spotkać miała. Może tam już dostąpił on pierwszego stopnia w dwornej służbie u swej pani lub nawet i drugiego — a stopni takich jest cztery: ten który nie śmie o miłości mówić jest *wahający się*; ten który ma odwagę uczucia wyrazić jest *proszący*; ten który słowem tyle dokaże, że mu dama znak widomy przychylności da, rękawiczkę, przepaskę lub szarfę, jest *słuchany*; a wreszcie kogo pocałunkiem dama na czwarty stopień podniesie jest *przyjacielem serca*. Przysięgę jej składa na klęczkach, dwie dłonie w jej dwie dłonie włożywszy i otrzymuje od niej pierścień wiernej służby, przez księdza poświęcony. Węzeł taki silniejszy niż małżeństwo.



GRÓB ŚW. IDZIEGO

Od hospicium w Oloronie droga pnie się w górę, strzegą jej kapliczki Najśw. Panny i św. Krzysztofa, niebawem zaczynają się wąwozy i przepaście skaliste, siklawy. Nad drogą wznosi się legendarny szczyt Anie, na którym wszystkie Basków duchy, czarownice i bogi siedzą, wraz z Lelum Polelum baskijskim. Horyzont zamyka piramida Pic du Midi d'Ossau. Z przełęczy żegna podróżny zielony stok francuski. Hiszpanja poszarpana i podarta staje przed oczyma. Hospicjum św. Krystyny na 1600 m wysokości, wedle *Przewodnika pielgrzymów:* „podniesienie świętych, odpoczynek pątników, pociecha ubogich, zbawienie chorych, schronienie żywych i umarłych”, pierwsze witało nową cesarzową. Stamtąd zapewne uniosły ją wozy skrzypiące przeraźliwie aby wilki i djabły odpędzić, ciągnione przez woły strojne, wiedzione przez milczących i wiernych do śmierci wolarzy górskich Leonu. W skalistej, zębatej warowniami Jaca, witał ją lenny Aragon.

Dziki przełom rzeki Aragonu w skałach czarnych, posucha i pustynia, źródła zatrute lub wyschnięte, mosty chwiejne nad Ebrem, walka z wichrem, skwar dnia, chłód nocy, oto pierwsze zetknięcie z Hiszpanją. — Potem Burgos na wzgórzu, jeszcze bez katedry, lecz już z domem i grobem Cyda i świątynią gdzie zbrodniarze przysięgą się oczyszczali; — dalej rdzawa, jałowa, bezdrzewna Kastylja — i Valladolid, gdzie czekał cesarz Alfons i synowie jego Sanszo i Ferdynand z żonami, oraz najpierwsi książęta Południa, Kastylji, Leonu, Asturji, Aragonu, Nawary, Katalonji, Prowancji i królikowie arabscy — hołdownicy.

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie wywarło owo jasnowłose dziewczę Północy wśród czarnych hiszpańskich djabłów. Ludność po drodze klękała, wołając że anioł jedzie. Fetom, turniejom i zainaugurowanym od wieku przez Cyda walkom byków nie było końca. Prześcigali się w gończy rycerze, nagrodę z rąk Riki wziął pasierb, infant Sanszo. Wszyscy trubadurowie sławni pieśni śpiewali, fontanny winem biły, dary sypały się. Pięćdziesięcioletni prawie Alfons w radości przywileje i donacje liczne na cześć Riki rozdawał, żydów opatom rozdzielał. Siostra jego Sansza, żony pasierbów dona Blanka i Elwira, wzięły, onieśmieloną pewnie obcem otoczeniem, dziecko-cesarzową w opiekę. To już nie wygnanka, lecz jedna z pierwszych monarchiń świata.

Nowy duch wstąpił w rycerstwo chrześcijańskie — w grudniu zostawiwszy Rikę w monasterze w Sobrado — Alfons powiódł je przez czeluście Sierry Moreny na kwietny raj Andaluzji. Zdobył Jaen, Kordobę, Almerję nawet nadmorską i Gadix. Sława Kastylji rosła. Sam Ludwik VII, do Burgos przyjeżdża niby do św. Jakóba, córkę Alfonsa Konstancję poślubia, po odrzuceniu Eleonory akwitańskiej. Znowu świetne gody, fety, gończe i biesiady, wzajemna przesada w przepychu i darach. Od cesarstwa dostaje Ludwik karbunkuł bez ceny, do korony cierniowej Chrystusa w St. Denis.

Alfons nie rozstaje się z żoną, musi ona być wszędzie, wszystkim godom przewodniczyć, najpiękniejsza, najbardziej wielbiona Richa de Polonia. Największy z trubadurów Marcabrun opiewa zwycięstwa chrześcijańskie, Piotr z Owernji śpiewa Rice i nie odstąpi odtąd jej rodziny. Znachodzimy Rikę w Salamance, w Toledo, w pielgrzymkach do St. Salvador, do Oviedo, do Lugo, pielgrzymkach z całym ascetyzmem hiszpańskim odprawianych, pokutnych, pod przewodem arcybiskupa Don Juana z Toledo. Zapewne dziwi się Rika owym figurom świętych z wosku, z włosami prawdziwemi i brwiami, spoczywającym na zasłanych prawdziwą pościelą łóżkach, dziwi się pogrzebom z otwartą trumną, skrzynkom przy katedrze w Toledo, gdzie biedni zmarłe dzieci wrzucają, gołębiom ukrzyżowanym dziobem na dół, z rozpostartemi skrzydłami, których męka ma być Chrystusowi osłodą, niezliczonym trzodom owiec z południa na północ wędrującym, które szlak na 50—100 m szeroki wydeptały, i strasznej staruszce, teściowej Hurrace, która męża zdetronizowała dla syna z pierwszego małżeństwa i przeciw temu samemu synowi walkę podniosła. Dziwi się i mężowi swemu, który władców wizygockich naśladuje, a choć arcychrześcijański, Arabów rad słucha, otacza się nimi, przyznaje im we wszystkiem wyższość — i temu, że Kastylja pojedynkiem rozstrzygała jaką liturgję przyjąć mozarabicką czy rzymską, dziwi się i Almerji napół legendarnej, do której ją Alfons w triumfie zawozi.

Osłodą pewnie jest jej przyjaźń nieodłącznej Blanki infantki, żony Sansza, którą niestety za lat kilka zabiera śmierć przy urodzeniu dziecka. Zostaje po niej w monasterze S-ta Maria de Najara napis: „Tu leży

Pani Bianka, bielsza niż śniegi zimy". Rika tem bardziej przerażona jest tą śmiercią, że i ona oczekuje dziecka, którem będzie Sansza infantka, niebawem od matki oddzielona, aż się po latach na czele wrogich obozów spotkają.

Tymczasem z dziecka rozkwitła cudna kobieta, uwielbiana przez męża, miłowana przez pasierba owdowiałego Sansza; życie jej to jeden pochód triumfalny od rajskich ogrodów Andaluzji po czarne skały Leonu, pierwsi książęta Południa, carzykowie mauretańscy i najsłynniejsi poeci na jej dworze. Cesarz daleki — kuzyn możny, papież — protektor i swat.

Ale fanatyczna Afryka wypluwa sektę Almohadów, którzy nową wojnę świętą wszczynają. Mimo bohaterstwa Sanszy pada Jaen i Kordoba — potem Almerja. Alfons i Krzyżowcy pod Andujar pobici. Arabowie sprzymierzeńca mają w skwarze sierpniowym. Powtarza się tragedja wypraw krzyżowych: w rozpadlinach i pustaciach skalistych, nie tyle od miecza ile od posuchy ginie armja; na przełęczy Muradal koło Fresnady kona z pragnienia pod jedynym zielonym dębem, Alfons VII w ramionach syna Ferdynanda. Arcybiskup Don Juan z Toledo udziela mu sakramentów św. Umiera, żegnając kraj swój u stóp rozciągniony, jedyny cesarz wszej Hiszpanji, niedawny zwycięzca Arabów, przez upał powalony. W pogrzebowym pochodzie niosą go do Toledo.

Dona Rica z Elwirą zamykają się, jak zwyczaj hiszpański każe, w Astordze, w klasztorze. Rok jest 1157. „Niepocieszona" wdowa nie ma lat dwudziestu.

Oto pierwsza epoka panowania jej zamknięta.

A. L. CZERNY

FILCOWE PANTOFLE, MAŁŻEŃSTWO I MIŁOŚĆ

Czy zapomniałyście już, miłe i piękne Czytelniczki „Świata Kobiecego", o starym wydze?

Tym starym wydze — nieuleczalnym romantyku, który widzi w kobiecie najcudniejszy dar Stwórcy, kwiat, pieśń, arcydzieło natury, najważniejszą i najcenniejszą treść życia mężczyzny?

Stary wyga — szarpnięty już zębem czasu, ale podobno wcale nieźle prezentujący się pan, za którym niekiedy oglądają się jeszcze osiemnastoletnie smarkate i mówią z uśmiechem kwitnącym na ich wargach, jak pachnąca róża:

— Spójrz, jaki ten siwy pan jest jeszcze przystojny...

Odpowiadam wówczas uśmiechem pełnym pobłażliwej melancholji, bo jakże tu gniewać się na istotę śliczną, jak gałązka świeżo rozkwitłego jaśminu, a niemądrą, jak młode cielę, istotę, dla której stokroć więcej uroku ma głupi, jak but, a zbudowany jak Discobol dwudziestoletni bramkarz z „Polonji", czy „Cracovji", niż wytworny, dyskretny i w sprawach miłości wszechstronnie oświecony *grand amoureux* — markiz de Priola?

Otóż ja, stary wyga, błagam Was, Panie, o przebaczenie, że po tylu miesiącach dopiero dziś ośmielam się przypomnieć Waszej pamięci. Podróżowałem i wielką moją zasługą jest fakt, że oszczędziłem Wam tych morderczych „listów z podróży", któremi nas raczy bezlitośnie każdy jegomość, czy jejmościanka, udające się w „podróż"... lokalną kolejką.

I kiedy wróciłem do Polski, rozpłakałem się ze szczęścia i dumy, że jestem tego cudownego kraju synem i obywatelem i oznajmiam solennie, że staropolskim obyczajem wyzwę na udeptaną ziemię każdego defetystę, który mi będzie pluł na Polskę, na nasze „azjatyckie barbarzyństwo", na nasze „zaściankowe chamstwo" i t. d. i t. d., a opiewał czarodziejskie cuda, obyczaje i porządki owej olśniewającej „zagranicy".

Polska jest właśnie tym cudownym krajem, który nie zdążył jeszcze schamieć i oby nigdy nie schamiał. Jest krajem, który ma wielką kulturę, wielkie tradycje i wielkie serce... Krajem błogosławionym, w którym kobieta jest kimś tak promiennym, tak godnym czci, że prosty chłop, jak rycerz schyla głowę przed prostą wiejską babą i całuje jej spracowaną rękę, krajem, gdzie góralka, czy bosa szlachcianka zagrodowa jest stokroć większą damą od ubrylantowanych, zagranicznych hrabin — —

Krajem romantyków i marzycieli, w którym ukochanej kobiecie ofiarowuje się jeszcze bukiecik fiołków, a nie pół tuzina jedwabnych pończoch, a słowa *kocham* nie popiera się zapytaniem: *„Ile?"*!

— Pan jest Polakiem? — zawołał radośnie pewien znakomity Włoch, namiętny patrjota, jeden z filarów faszyzmu. — Cóż to za wspaniały kraj, ta Polska! Z zazdrością myślę, że w pańskiej ojczyźnie pół miljona dzielnych, pięknych, zdrowych matek daje co roku życie dzieciom i że jesteście najpłodniejszym narodem w Europie!

Słowa te oczywiście brzmiały w moich uszach, jak archanielska muzyka... I patrząc z Monte Pincio na złoty w zachodzącem słońcu Rzym, myślałem o tej mojej dalekiej ojczyźnie, w której kobieta nie jest dla mężczyzny haszyszem, wysączoną w hulaszczą noc butelką szampana, czy szklanką zatrutego złym szałem absyntu, lecz jego wiernym towarzyszem, przyjacielem i równym mu umysłem kolegą...

Bo przecież poza znikomą ilością dancingujących lwic, histerycznych charlestonomanek i „dekobrowatych" poszukiwaczek przygód, jest w Polsce zwarty, wspaniały tłum obywatelek...

— — — — — — — — — — — — —

A teraz przejdźmy do tematów bardziej figlarnych — do filcowych pantofli, miłości i małżeństwa.

Na jednej z francuskich plaż, hojnie zaśmieconej skórkami od bananów i pomarańcz i „ozdobionej" rojem przeraźliwie umalowanych dam, które nigdy nie kąpią się, ale chętnie paradują w więcej niż niedostatecznych, a straszliwie jaskrawych kostjumach, spotkałem Gastona de V., mego bardzo dobrego znajomego. Miłe chłopisko. Był w Polsce, odczuł ją, zrozumiał, polubił i przy każdorazowem spotkaniu pyta ze szczerą troską:

— A cóż tam u was w Polsce? Zawsze ta czarująca, nigdzie indziej na świecie nieznana gościnność? Zawsze ta olbrzymia armja cudnych, wesołych i doskonale wychowanych dzieci? Zawsze te same kobiety — w miarę zalotne, dumne, piękne, mądre a przedewszystkiem — dobre? Zawsze ten sam rycerski, średniowieczny stosunek mężczyzny do kobiety? Zawsze ta chwytająca za serce, bezprzykładna grzeczność polska, bo wasze niezapomniane, na każdym kroku słyszane: „przepraszam", „dziękuję", „proszę bardzo"? I czy zawsze jeszcze w tramwajach i autobusach mężczyźni stoją, a panie siedzą ku wielkiemu zdumieniu nas, cudzoziemców z nad Sekwany?

Chrząknąłem boleśnie, gdyż, niestety, poczciwy Gaston, przesadza. I my już, niestety, „demokratyzujemy się". I w naszych tramwajach widuje się niekiedy stojącą kobietę i cynicznie rozwalonych na ławkach łobuzów. Lecz nie chciałem pozbawiać Gastona pięknej iluzji i zamiast odpowiedzieć na tę Niagarę pytań, schwyciłem go, jak zwykle, w objęcia i uścisnąłem tak serdecznie, aż mu coś groźnie trzasnęło w żebrach czy kręgosłupie.

(C. d. n.)

STARY WYGA

— A więc już? Odprowadzę Panią do domu. Pora późna, więc byłbym niespokojny —

— Uprzejmość Pańska powinna znać granice.

— Przekroczyła je, zabłądziwszy poza próg sentymentu.

— To niezdrowy teren; a i termin dziś niepopularny.

— Jestem wytrzymały — a o popularność nie dbam. Przynajmniej w podobnej sytuacji.

— Pan reklamuje swoje zalety.

— Skoro ich Pani sama nie dostrzega —

— Nie odczuwałam dotychczas potrzeby orjentowania się w Pańskich doskonałościach.

— Dziękuję.

— Za co?

— Za „dotychczas". W tem słowie bowiem tkwi już nikły zalążek obietnicy.

— Co za optymizm...

— Co za złośliwość!

— Za ten komplement — złośliwość uważam za miłą zaletę w konwersacji — należy się Panu jakaś rekompensata. Oto i ona: nie nudzę się w tej chwili.

— Ja również nie, i to nie od tej chwili. Zaczynam też wobec tego nawet przypuszczać, że moglibyśmy zaryzykować flirt. Cały dzisiejszy wieczór z niepokojem oczekuję czegoś, coby wywołało ochłodzenie mego zainteresowania i spowodowało odwrót. Jakiegoś niezgrabnego powiedzenia Pani, ruchu nieestetycznego, jakiejś płytkiej uwagi, jakiejś ignorancji, którąby wyrwała się bezwiednie. Zaznaczam, że z niepokojem oczekuję czegoś takiego, bo takby mi szkoda było stracić Panią.

— Stracić? Nie możemy przecież tracić czegoś, czego nie posiadamy.

— Pozwolę sobie objaśnić Panią, a zarazem wzbogacić i rozszerzyć Jej horyzont myślowy zwróceniem uwagi na to, że istnieją różne rodzaje posiadania. Nasze oczy np. posiadają wszystko, na co patrzą świadomie, co dostrzegają. I tak ja, patrząc na Panią, rozróżniam wszelkie jej wartości zewnętrzne, widzę kolor oczu, włosów, kształty rąk, nóg, no — wogóle całej postaci — czyli posiadam w tej chwili zewnętrzny obraz Pani. Również moją własnością są wszystkie wyłącznie do mnie skierowane słowa Pani, spojrzenia, a nawet i ten gest lekceważący w tej chwili — wyłącznie do mnie należy. Mnie — chce nim Pani zgnębić, moje usta uciszyć.

— Ależ to są pseudo-filozoficzne teoryjki, wymyślone przez Pana napoczekaniu, z intencją wprawienia mnie w zakłopotanie.

— Raczy Pani łaskawie przyjąć do wiadomości, że nie oblęgałbym kobiety, którą tak łatwo wprawić możnaby w zakłopotanie. Do flirtu muszę mieć partnerkę dorosłą do wszelkich niespodzianych sytuacyj.

— My przecież nie flirtujemy. Przynajmniej ja nie mam takich zamiarów.

— Te rzeczy nie liczą się z naszemi zamiarami — znowu wypada mi pouczyć Panią — dochodzą do naszej świadomości już jako rzecz dokonana, istniejąca. Dam Pani przykład, niestety, znowu na sobie. Ale to celowo robię. Przyszedłem na ten bal dla kogo innego, z dobrej woli i w nadziei spędzenia miłych godzin z kimś innym. A oto nie opuszczam Pani cały wieczór. Zamiar miałem inny — a cóż z niego zostało? Czy przekonałem Panią?

— Pan ma wybitne zdolności pedagogiczne. Czyżby...

— Nie, to nie mój zawód, i nic o tej swojej zalecie dotychczas nie wiedziałem, ale cieszę się, że ją właśnie Pani odkryła. Może przecież zdołam Panią przekonać —

— O czem?

— O różnych rzeczach. A na początek — Nie, wolę wprzód zapytać, czy mogę mówić śmiało?

— W granicach dotychczasowej śmiałości — tak.

— Pani często wytycza granice. Czy to tak we wszystkiem? To wybitnie zubaża życie.

— Nie lubię mówić o sobie. Nie lubię zaspokajać ludzkiej ciekawości. Przygodnej. Jeślibym miała mówić o sobie kiedykolwiek, to w każdym razie dobrowolnie.

— Zgoda. Pojąłem. Nie chcę Pani zrażać. Zamiast pytaniami, zajmę się przekonywaniem. Czy Pani nie sądzi, że przed odejściem wypadałoby zdjąć maseczkę?

— Nie, nie sądzę, i żadnego powodu do tego nie widzę. Zwykłam odchodzić, tak jak przychodzę, w masce.

— A czy nie uważa Pani, że to niesprawiedliwie, czy też że to nierówne szanse, jeśli Pani zna moją twarz, a ja Paninej tylko domyślać się muszę.

— Uważam, że kto na bal maskowy przychodzi, musi się liczyć z podobną możliwością.

— Liczyć — tak. Ale czy pogodzić?

— Cóż innego pozostaje Panu?

— Wobec zdecydowanej postawy Pani, oczywiście, nic innego. Ale możeby znowu jakaś rekompensata, tym razem donioślejsza —

— Wobec pory spóźnionej podamy sobie uprzejmie ręce na pożegnanie, Pan pójdzie naprawiać sytuację u damy swego serca, a ja wrócę do siebie.

— Idę z Panią.

— Drogi Panie, poza tą salą kończy się maskowy nastrój. A więc, no, gdzież ręka —

— Droga Pani, obowiązkiem gentlemana jest doprowadzić bezpiecznie do drzwi jej domu kobietę, której się towarzyszy całą noc.

— Nie mogę temu zaprzeczyć, drogi panie.

— Jakaż to miła, ta serdeczna nuta. Jest Pani łaskawa.

— To tak przy rozstaniu, by zostawić dobre wrażenie.

— Więc zależy Pani jednak na tem trochę?

— Nie przeczę. Nie nudziłam się; a na balach maskowych intelektualna rozrywka jest przecież rzadkością.

— A czyby Pani nie mogła — gdy Ją odwiozę — zaprosić mnie na czarną kawę?

— No — niemożliwe to nie jest, ale niebardzo ostrożne. Grozi zdjęciem maseczki i —

— Mąż?

— Nie mówię o sobie, a Pan o nic nie pyta. Grozi zdradzeniem nazwiska.

— Czy to groźne w skutkach?

— Rozbraja mnie Pan, muszę się śmiać!

— Ależ to ślicznie i niczego innego nie pragnę — narazie — prócz tej czarnej kawy. Dostanę?

— Nie, drogi Panie. Zaraz to wytłumaczę i teraz zkolei ja postaram się przekonać Pana. Każda rzecz niezwykła, gdy się staje zjawiskiem zwykłem, przestaje wywierać swój urok. Te godziny na balu, to jest przygoda, a znajomość towarzyska jest możliwością codzienną, która nie pozostawi żadnego wrażenia po sobie. Ot, jak tysiące innych. W kilka chwil po zaprezentowaniu nie myślimy już o tem. A po dzisiejszej nocy będzie Pan musiał, chociażby z prostej ciekawości, myśleć o mnie i wypatrywać mnie w każdej kobiecie o podobnej sylwetce.

— Nietylko z ciekawości!

— Więc jeszcze milej. Dla mnie.

— Ależ to brzydki egoizm.

— Przyznaję. Jednak i Pan przyzna mi nieco słuszności. Wszak tę, dla której przyszedł tu Pan, zna Pan dobrze i — dlatego jest Pan przy mnie — czy tak?

— Może — — —

— Więc rezygnujemy z czarnej kawy?

— Skoro Pani tak postanowiła nieodwołalnie, muszę ustąpić, ale tak mi — szkoda...

* * *

KWIATKI

NOWELA

Nadszedł wreszcie ten dzień, dzień zdawna upragniony i oczekiwany.

Pan Teodor wierzył niezłomnie, że właśnie dziś znalazł się już od rana w obliczu wielkiego wydarzenia — wydarzenia, które będzie w jego życiu początkiem nowej epoki, które pozwoli odzyskać mu utraconą młodość, wyzwoli wszystkie utajone siły i spełni wszystkie niezaspokojone tęsknoty.

Chwilami jednak wśród tego radosnego podniecenia pojawiało się ponure widmo wątpliwości.

— Czy nie jestem już za stary? — myślał wówczas pan Teodor i z niepokojem przyglądał się w lustrze swojej postaci otyłej i przysadkowatej, wyblakłym, niebieskim oczom, twarzy rumianej, ale pomarszczonej, jak zimowe jabłko. Pocieszała go tylko czarna, kędzierzawa i gęsta czupryna, wśród której lśniły dostojnie siwe nitki włosów. Poczem wznosił w górę swój wypukły i potężny tors, wciągał brzuch wystający, opierał się mocno na rozstawionych nogach i naprężał muskuły atletycznych ramion. Poczucie znacznej siły fizycznej sprawiało mu wielkie zadowolenie, pocieszało go.

— Nie jestem wprawdzie wiotki i zgrabny, — myślał wówczas — ale jestem krzepki, jak dąb. Mogę się jeszcze podobać.

A potem powtarzał sobie, niby radosną nowinę, rzecz najważniejszą:

— Mam pieniądze i jestem niezależny.

Przed kilkunasty laty pan Teodor borykał się jeszcze ze złym losem, jako mizerny urzędniczyna policyjny. Dopiero wówczas, kiedy pojął za żonę panią Reginę, zdawało się, że fortuna doń się uśmiechnęła. Rani Regina była wprawdzie o dwadzieścia lat od niego starsza, ale posiadała znaczny majątek i cierpiała na nieuleczalną chorobę. Małżeństwo z nią miało pozory sentymentalnej przyjaźni, opieki silnego mężczyzny nad istotą chorowitą, ale właściwie pan Teodor dokonał wybornej transakcji finansowej, zdobywając odrazu pewny grunt pod nogami i świetne nadzieje w niedalekiej przyszłości. W kilka dni po ślubie doznał jednak srogiego rozczarowania. Pani Regina ozdrowiała, podniosła się z łoża boleści i ujęła w żelazne dłonie ster wszystkich spraw. Pan Teodor dostawał mieszkanie, jedzenie, opierunek i kilka groszy na osobiste wydatki, ale nic poza tem.

— Musimy być oszczędni, — mówiła pani Regina — za to, kiedy umrę, wszystko będzie twoje.

Odrazu okazała się bardzo wymagającą, żądała jednocześnie sentymentu i bezwzględnego posłuszeństwa. Roztoczyła nad nim drobiazgową kontrolę i nie pozwoliła wymykać się z domu na czas dłuższy. Ponieważ pan Teodor jeszcze przed ślubem porzucił swoją lichą posadę, stał się zupełnym niewolnikiem domu i swojej despotycznej żony. Z początku buntował się. Nie ukrywał nienawiści do jej postaci niekształtnej i rozlanej, przywdzianej niezmiennie w tę samą staromodną suknię z koronkowym żabotem. Jej twarz pomarszczona w czarnej peruce poczęła napełniać go wstrętem. Raz po raz wybuchały pomiędzy nimi kłótnie przesycone jej łzami i jego wściekłością. Ale pomimo męskich wybuchów wściekłości stanowczość i przewaga kobiety odnosiły zawsze zwycięstwo. Pan Teodor nie zdołał nic uzyskać, a po kilku miesiącach zabrakło mu już odwagi, aby zerwać z dobrobytem, którego dotąd nigdy nie posiadał. Bał się nawet myśleć o tem, aby miał powrócić do tragicznej egzystencji nędzarza, którym los i ludzie pomiatają.

Wreszcie pani Regina usidliła zupełnie pana Teodora wyjątkową dobrocią swojej kuchni. Ta kobieta, z której życie pomału uciekało, znajdowała jakąś lubieżną radość w potrawach wyszukanych i przyrządzanych z najwyższem znawstwem sztuki kulinarnej. Posiadała ona tak wysubtelnioną znajomość wszelkich smaków, stworzyła tak wyborną syntezę tajemnic kuchennych, że każdy posiłek w ich domu przeobrażał się w jakieś przedziwne misterjum bezdennego obżarstwa. I tą drogą niezawodną, poprzez rozpasany żołądek zdobyła najpierw jego przyjaźń i miała wszelkie szansy, aby kiedyś zdobyć jego otłuszczone serce. Osiągali coraz to ściślejsze porozumienie, uzgadniali swoje poglądy na świat, życie i ludzie, uśmiechali się z pogardliwem lekceważeniem, jeśli cokolwiek kłóciło się z szablonem ich ustalonych pojęć. Zczasem utrwaliła się ta sielanka dwojga beztroskich samolubów, którzy zdołali zapełnić szereg dni jednostajnych swoją wygodą i używaniem najpospolitszych dóbr doczesnych. Na mocy tajemniczego prawa mimikry stawali się coraz bardziej do siebie podobni, tworzyli chwilami niemal jedną całość, poruszaną temi samemi instynktownemi odruchami.

I dopiero wówczas, kiedy pani Regina upewniła się dostatecznie, że związek ich jest już niewzruszony, poczęła obdarzać swojego towarzysza drobnemi ustępstwami. Pozwalała mu na przelotne miłostki, nieszkodliwe flirciki i patrzyła przez palce, jeśli znikał na jakiś czas poza domem — wiedziała bowiem, że nic już nie jest w stanie naruszyć równowagi opierającej się na iście granitowych podstawach.

Odniósłszy ten triumf sprytu i wytrwałości, pani Regina poczęła objawiać coraz to silniejsze wyczerpanie. Gasła w oczach. Panu Teodorowi zdawało się, że słyszy wciąż bliższy odgłos kroków nieproszonego gościa — śmierci. Całe mieszkanie przesycone było zapachami aptecznemi. Przy łożu umierającej pojawiła się pielęgniarka w białym fartuchu, a wśród nocy brzemienną ciszę przerywały jęki boleści.

W tej atmosferze beznadziejności, której już nic nie mogło odwrócić, pan Teodor nie mógł się powstrzymać od radosnego poczucia, że zbliża się wreszcie upragniona wolność. Pogardzał sobą i nie szczędził najstraszniejszych wyrzutów, ale jednocześnie nie mógł się powstrzymać od marzeń o życiu przyszłem, o zachwycającej swobodzie i pełni używania. Ile razy podchodził do łoża boleści, musiał gasić filuterny uśmiech szczęścia, który wydawał mu się piętnem okropnej zbrodni.

Wreszcie pani Regina, porzuciwszy wszelkie nadzieje, poczęła się z nim żegnać. Pokazała mu testament, mocą którego miał stać się jej uniwersalnym spadkobiercą, wtajemniczała go we wszelkie sprawy majątkowe i udzieliła mu wielu rad co do załatwiania najrozmaitszych formalności. Pan Teodor starał się przybrać wyraz pełen obojętności, starał się nie pytać o nic, ale słuchał wszystkiego z najwyższą ciekawością. Wreszcie pewnego wie-



Roztoczyła nad nim drobiazgową kontrolę...

czoru wzięła jego rękę i przycisnąwszy do niej rozgorączkowane wargi poczęła dziękować mu za kilkanaście lat razem przeżytych. Po raz pierwszy uczuł wzruszenie dławiące gardło. Nagle ścisnęła go silnie i urywanym głosem wyszeptała:

— Czy ty mnie kiedykolwiek naprawdę kochałeś?

Pan Teodor bąknął coś niezrozumiałego i siedział koło niej zakłopotany, ze spuszczoną głową, jak winowajca.

— Chciałam, żeby ci było dobrze, ale ty tak mało myślałeś o mnie...

— Ależ moja droga... — próbował się sprzeciwić, zaniepokojony takim zwrotem rozmowy.

Pomarszczoną twarz pani Reginy wykrzywił niesamowity uśmiech.

— Nigdy nie odczułam twojej miłości, naprzykład nigdy nie podarowałeś mi kwiatka...

— Kwiatka? — powtórzył zdumiony.

— Tak, kwiatka... takiego zwyczajnego kwiatka, który mężczyzna przynosi kochanej kobiecie...

Tej samej nocy umarła. Kiedy zbudzono pana Teodora, duch z niej już uleciał — w ten sposób zaoszczędził sobie przykrości ostatniego pożegnania.

Uczucie smutku, w którem go pogrążyła śmierć żony i posępna ceremonja pogrzebowa, rozprószyło się rychło w gmatwaninie interesów i formalności spadkowych, które załatwiał z wytrwałą energją. Później wyjechał na dwa miesiące na wieś, aby tam odbyć żałobną kwarantannę i przynajmniej na krótki czas zejść ludzkiej ciekawości z oczu. Przez cały czas układał plany na najbliższą przyszłość i postanowił, na nic się nie oglądając, zacząć od pierwszego dnia życie pełne swobody i beztroskiej zabawy.

Był pogodny, jesienny wieczór, kiedy wyruszył na miasto podniecony tą pierwszą, zdobyczną wyprawą. Ponieważ w tej chwili nie posiadał jeszcze żadnych znajomości, był samotny.

— To nic nie szkodzi — pomyślał i uprzytomnił sobie, że w dzisiejszych, powojennych czasach łatwo jest dla każdego znaleźć to, czego pragnie.

Wieczorna symfonja wielkiego miasta uwiodła odrazu jego zmysły. Nigdy świat nie wydawał mu się tak powabnym i tak łatwym do pozyskania, jak dzisiaj. Melodje, które wygrywały klaksofony samochodów, różnokolorowe światła wystaw i reklam ulicznych, błyski syczących kul elektrycznych na asfaltowej gładzi i falangi przechodniów, wśród których lśniły, jak klejnoty, uśmiechy i oczy nieznanych kobiet — wydały mu się czarującym wstępem, pierwszym fantastycznym akordem przed spełnieniem się bajki o szczęściu.

Przez długi czas błądził po ulicach podniecony rozkosznie. Jego wyobraźnia rozsnuwała wszędzie cudowne wydarzenia i przygody. Mimowoli utożsamiał się z ludźmi, których spotykał, dostrzegając wszędzie niewyczerpaną bezdnię możliwości. Zdawało mu się, że dość się zdecydować, aby odległą i wstrzemięźliwą obserwację przemienić w akcję bezpośrednią, aby z widza stać się aktorem i rozpocząć swoją nową rolę na deskach teatru współczesności. Był pewien, że wystarczy jego jednego postanowienia, aby poprostu skoczyć równemi nogami przed siebie i znaleźć się odrazu w kipiącym wirze życia. Tymczasem uśmiechał się z pogardliwą pewnością i patrzył co robią inni?

Jego plan był już oddawna gotów. Nadzieje, które obracały się dokoła potrzeby zdobycia kobiety, miały zgóry określony teren. Pan Teodor odrzucił przedewszystkiem wszelkie tak zwane „możliwości towarzyskie". Wydawało mu się bowiem, że jest to droga ciężka, żmudna, powolna i najzupełniej nienowoczesna. Pomimo zakorzenionego konserwatyzmu pan Teodor postanowił w tym wypadku być jak najbardziej zgodny z nastrojami współczesnemi. Chodzić na jakieś przyjęcia i zebrania, ponosić najrozmaitsze obowiązki za drobną szczyptę zadowolenia, dla jakiegoś bardzo słabego promyka nadziei, wcale mu się nie uśmiechało. Wreszcie gdyby nawet udało mu się tym sposobem coś uzyskać, obawiał się ciężaru zobowiązań, jakiejś niewyraźnej sytuacji, która mogła grozić nowem jarzmem, nową niewolą. Może zaplątałby się w jakieś misterne sieci, z których niepodobnaby było się wywikłać.

W jego marzeniach i pragnieniach nie przyświecała mu nigdy gwiazda wielkiej miłości. Nie pragnął nigdy namiętności bolesnej i palącej, jak ogień. Uśmiechały się raczej do niego małe i nie krępujące żadnemi więzami miłostki. Myślał o znajomościach łatwych i przemijających, o przygodach, które rozpoczynają się przy świetle lamp wieczornych, a kończą się o bladym świcie. Pan Teodor pożądał wrażeń tak zmiennych, jak obrazy na taśmie filmowej. Pragnął bowiem odzyskać to wszystko, co utracił poprzez beznadziejną jednostajność lat minionych. Był pewien, że jedyne szanse, jakie w tej grze posiadał, mógł znaleźć tam, gdzie wśród najbardziej szalonej zabawy szeleszczą dyskretnie banknoty, gdzie się odbywa każdego wieczoru zamaskowane targowisko.

Zatopiony w myślach nie spostrzegł zrazu, że ulice pustoszały, że kolorowa poezja wczesnego wieczoru zapadła w czarną otchłań i że się już rozpoczęło posępne widowisko wielkomiejskiej nocy. Cienie i szepty, które wypełzły z zaułków na szeroką arterję miasta, przejęły go wstrętem, obawą i zmusiły do szybkiej ucieczki.

Woddali widać było, jak zbawczą oazę, wejście jasno oświetlone, a ponad niem okna przesycone rubinowemi błyskami, które spływały stamtąd razem z falą muzyki sennej i zmysłowej. Pan Teodor nie namyślając się długo, dobiegł tam i wtargnął do wnętrza. Dopiero na schodach wiodących do modnego dancingu przystanął i pomyślał, że mimowoli znalazł się na arenie właściwych wydarzeń.

Maître, który krzątał się koło wejścia, ogarnął go przenikliwem spojrzeniem, otaksował w przybliżeniu, potem powitał kordjalnie i ofiarował maleńki stolik na sali tuż koło lśniącego prostokąta, gdzie snuły się w powolnym rytmie tańczące pary.

Pan Teodor zamówił kolację wraz z flaszką czerwonego wina i przez długi czas starał się zbadać sytuację na sali. Prawie wszystkie stoliki były zajęte albo przez towarzystwa liczniejsze albo przez młode pary, które tańczyły ze sobą bez wytchnienia, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie. Pomimo pory dość spóźnionej panoszył się jeszcze wszędzie nastrój ceremonjalny i sztywny. Stoliki podobne były do samotnych bastjonów odgrodzonych od reszty towarzystwa nieprzebytem pasmem wyniosłej i obojętnej dumy. Orkiestra pomimo gorliwych wysiłków nie mogła ogrzać chłodnej temperatury sali.

Pan Teodor nie zdołał również zwrócić na siebie uwagi — nawet wówczas, kiedy wystrzelił przed nim korek szampański.

Wreszcie udało mu się odkryć wyłom wśród tej fortecy nudy i oschłości.

Był to mianowicie tak zwany „stolik artystyczny", przytulony niemal do podjum, na którem hałasowała orkiestra. Oprócz jakiegoś zblazowanego młodzieńca, który pysznił się podejrzaną elegancją zawodowca, urzędowały tutaj trzy fortancerki. Były to dziewczyny młode, ładne i zgrabne. Zachowywały się tak poprawnie, że trzeba było doświadczonego oka, aby zorjentować się w ich „stanowisku". Dokonawszy odkrycia, pan Teodor ożywił się i począł się umacniać całą swoją uwagą na tej pozycji. Czynił to tak demonstracyjnie

i prostodusznie, że go wreszcie i strona przeciwna zauważyła. Kiedy padło stamtąd pierwsze chłodne i badawcze spojrzenie, pan Teodor zaniepokoił się mimowoli, ale wkrótce odzyskał odwagę i przedsiębiorczość.



Odpowiedział mu uśmieszek zarazem konwencjonalny i wyzywający.

Czyż nie był właśnie w tych warunkach osobistością godną zainteresowania? Nie ulega przecież najmniejszej wątpliwości, że współczesne kobiety, a zwłaszcza kobiety tego gatunku zwracają więcej uwagi na ludzi starszych i statecznych, niż na młokosów lekkomyślnych i podszytych wiatrem. Tam mogła być co najwyżej pustota, zabawa, do której się czasami przybłąkuje jakiś niepotrzebny sentyment, a tu przecież istniały podstawy najbardziej racjonalne, istniało bogactwo doświadczenia przy nie słabnącej jeszcze pełni sił męskich.

Pan Teodor, przepijając gęsto, poczuł w sobie istny nadmiar fantazji.

Fortancerki tańczyły od czasu do czasu ze swoim partnerem, ukazując przy tej sposobności grację poruszeń, smukłość postaci i wysoką klasę sztuki tanecznej. Czasami porywał je któryś z przygodnych gości.

Wówczas panem Teodorem wstrząsało piekło zazdrości — zwłaszcza, kiedy widział, że rozmawiają.

— A gdybym zatańczył? — pomyślał nareszcie.

To pytanie, które go z początku przeraziło, tkwiło w jego podświadomości już oddawna i wyłoniło się niespodziewanie jako zagadnienie wielkiej wagi.

Przecież jeszcze za życia pani Reginy uczył się potajemnie tańczyć. Podobno nawet okazywał pewne zdolności, ale nigdy jeszcze nie miał ani sposobności ani odwagi, aby się zdecydować na występ publiczny. Ale teraz ta próba była konieczna. Cóż znaczy dzisiaj mężczyzna, który nie jest tancerzem? Ileż sposobności traci ten, który siedzi bez ruchu za stołem i nie ma dość odwagi, żeby się skłonić nieznajomej kobiecie! Taki niedołęga wyrzuca się poprostu poza nawias życia i nigdy nie zdoła odzyskać tego, co traci nieustannie.

Pan Teodor cisnął kilka wymownych spojrzeń. Odpowiedział mu uśmieszek zarazem konwencjonalny i zachęcający, który wydał mu się przyzwoleniem i zachętą.

— Nie wypada być tak nieśmiałym... — pomyślał znowu. Postanowił przy pierwszym fokstrocie wstać i zaprosić do tańca blondynkę, z którą już od dłuższego czasu rozmawiał oczyma. A potem będzie tańczył wszystko pokolei.

Tymczasem na sali ukazało się niespodziewanie nowe towarzystwo.

Było to kilku młodych ludzi, którzy przychodzili widocznie tutaj, aby przedłużyć rozpoczętą gdzie indziej zabawę. Mówiły o tem przebłyski lekkiego podchmielenia i wesołość, która podziałała na wszystkich podniecająco. Od pierwszego zamachu wypędzili wielmożną nudę i nadętą powagę. Cudowny powiew beztroskiej młodości działał, jak prąd czystego powietrza wśród nieznośnej zatęchliny. Chłopcy byli zgrabni, dobrze ubrani, o twarzach ogorzałych, które zdradzały wiejskie pochodzenie. Zachowywali się z pewnego rodzaju łobuzerską nonszalancją, nie kłócącą się jednak z dobrem wychowaniem.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim i błyszczały sympatją.

W mgnieniu oka obsiedli wielki stół, a po kilku chwilach wszystkie fortancerki znalazły się w ich towarzystwie.

Pan Teodor poprostu oczom nie wierzył. Jakże łatwo dokonali tego, nad czem on prawie całą noc przedeliberował. Zanim zdołał rozpocząć batalję, już został pobity i pogrążony w zupełnem osamotnieniu. Ogarnęła go wściekłość straszliwa i chęć sprowokowania jakiejś okropnej awantury. Ale nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Uspokoił się nieco po chwili i począł obserwować uporczywie „młody stół", który huczał, rozbrzmiewał, dźwięczał śmiechem i wichrzył na wszystkie strony niefrasobliwą wesołością. Przyglądał się im coraz uważniej i nareszcie zrozumiał na czem polegała ich przewaga. Oni bawili się bezinteresownie, przynajmniej w tej chwili... a on tak się bawić już nie umiał. W każdym jego geście, w każdem jego słowie drzemało na dnie nienasycone pragnienie, chęć zdobycia czegoś realnego — był to od początku do końca tylko handel zamienny. Cóż w tem dziwnego? — oni mieli tak dużo, a on tak mało czasu. I dlatego zapewne oczy dziewcząt, tych dziewcząt zepsutych i nie zapominających o zimnym rachunku śmiały się właśnie do tych rozhukanych źrebców, a nie do poważnego, doświadczonego i dobrze sytuowanego pana Teodora.

Uczuł, że ogarnia go znowu przypływ niepohamowanej pasji, a jednocześnie zrozumiał, że musi coś uczynić — natychmiast, bez żadnego wahania.

Właśnie buchnęła wrzaskliwa eksplozja skocznego tańca. Prawie wszyscy stłoczyli się na lśniącym prostokącie. Tylko jedna z tancerek wróciła na swoje stałe miejsce.

Pan Teodor zerwał się bez namysłu i pobiegł ku niej.

Spojrzała na niego nieufnie i lękliwie.

— Czy pan aby umie tańczyć? — zapytała nieśmiało.

Rozumie się, skoro panią proszę — odpowiedział głosem ochrypłym, który jemu samemu wydał się dziwnie nieprzyjemny.



...runął z łoskotem na ziemię.

Ogarnął ją ramionami i poczuwszy rozkoszne ciepło młodego ciała, zanurzył się jednocześnie w tanecznem kolisku. Starał się posuwać lekko i zręcznie, powtarzał wszystkie wyuczone kroki, natężając się niesłychanie, podczas gdy ona poruszała się z oszałamiającą swobodą. Rytm tańca uderzał mu jednak coraz bardziej do głowy i wzmagał zuchwalstwo. Począł triumfować i krok za krokiem zdobywał coraz większą pewność siebie. Zdawało mu się, że nawet ta wybredna tancerka jest zadowolona, a wszyscy patrzą na niego z podziwem.

Odważył się wreszcie spojrzeć na nią i z przerażeniem zobaczył na jej ustach uśmiech zagadkowy —

uśmiech, jakby pogardliwy, uśmiech bynajmniej nieprzeznaczony dla niego. Ona śmiała się porozumiewawczo do kogoś na sali, jakby chciała powiedzieć: „Ach, co ja cierpię biedna".

Pan Teodor zmieszał się, stąpnął niezgrabnie, słoniowato i udeptał ją w pantofelek.

— Ach, jaki pan niezgrabny... — syknęła rozgniewana.

To go zupełnie wytrąciło z równowagi, stracił rytm i począł się obijać pomiędzy parami, przytrzymując z całych sił swoją tancerkę. Wreszcie wśród okrzyków niezadowolenia zaplątał się, pośliznął i runął z łoskotem na ziemię.

Jeden z młodych ludzi podniósł go z przesadną usłużnością i kiedy nawpół przytomny pan Teodor stanął znowu na nogach, odezwał się doń z żartobliwem współczuciem:

— Och, poczciwy staruszku i pocóż było się tak fatygować? Z głową pochyloną i nabrzmiałą szedł nic nie widząc, chłostany śmiechem i uszczypliwemi docinkami. Zapłacił rachunek dopiero w garderobie i wyszedł na ulicę, gdzie go powitał blady i cyniczny poranek.



... aby złożyć na jej grobie kwiatki...

Wlókł się do domu zniechęcony i ociężały, uginając się niezdarnie pod brzemieniem śmieszności.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania, zionęła ku niemu straszliwa pustka. Nigdy nie czuł się tak samotnym, jak w tej chwili. Krążył po wszystkich pokojach i szukał napróżno śladów życia, które stąd uleciało.

Wreszcie wydobył z biurka fotografję pani Reginy i spędził z nią długie godziny, dławiony straszliwą tęsknotą i poczuciem osamotnienia.

Dopiero koło południa wyruszył na miasto i, kupiwszy po drodze bukiecik fiołków, podążył na cmentarz, aby złożyć na jej grobie kwiatki, te kwiatki, których jej nigdy za życia nie umiał ofiarować...

STANISŁAW DZIKOWSKI

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 14 — Copyright Agence Littéraire Internationale, Paris

Anna pojechała do Londynu na kursy Czerwonego Krzyża. Eliot, zdawszy praktykę na swego wspólnika w Penangu, wrócił do kraju i wstąpił do korpusu lekarskiego.

Korzystając z trzydniowego urlopu, spędzonego w domu, Eliot dokładał wszelkich starań, by powstrzymać Colina od zaciągnięcia się. Jego zdaniem, Colin nie jest i nigdy nie będzie zdatny do wojowania. Postępuje tak, jak zawsze postępował: wysforowuje się naprzód i stara czynić, czego nie potrafi.

— Czy sądzisz, że mię nie zakwalifikują? — pytał.

— Ależ owszem, zakwalifikują na pewno — odparł Eliot. — Dadzą ci kosztowną naukę, wyszlą do okopów, poczem w ciągu miesiąca lub jeszcze prędzej odwiozą cię kontuzjowanego do szpitala. Następnie, skoro przyczynisz wszystkim moc kłopotu i staniesz się nieznośnym zawalidrogą, zwolnią cię jako niezdolnego do służby... Zapewne wypadałoby mówić, że twoja chęć wojowania jest wspaniała. Lecz nie jest ona wspaniała. Jest idjotyczna. Poprostu będziesz się wtrącać, gdzie cię nie potrzeba, zabierając miejsce kogoś lepszego, zabierając stanowisko kogoś lepszego, zabierając łóżko kogoś lepszego w szpitalu. Powiadam ci, że nam nie trzeba ludzi, co się załamią zaraz w pierwszej potyczce.

— Czy więc sądzisz, że stchórzę? — pytał biedny Colin.

— Stchórzysz? O mój Boże, nie! Będziesz się trzymał, aż się z nóg zwalisz, aż cię sparaliżuje, aż stracisz głos i pamięć, aż będziesz zupełną ruiną. Dosyć będzie takich biedaków i bez ciebie, mój Colinku.

— Ale dlaczegoż przypuszczasz, że będę o tyle gorszy od innych?

— Bo tak cię Pan Bóg stworzył, bo twój system nerwowy nie wytrzyma pocisków. Sam hałas upora się z tobą. Natomiast jeśli zostaniesz, będziesz zupełnie w porządku.

— Przecie Jerrold wraca do kraju i zaciąga się odrazu. Jakże mogę zostać w domu, kiedy on pójdzie?

— I w domu będzie aż nadto roboty.

— Lecz nie dla ludzi w moim wieku.

— Dla ludzi twojej nerwowej organizacji. Twoje pójście do wojska byłoby wierutnem marnotrawstwem.

— Cóż stąd? Co kogo obchodzi, co się ze mną stanie?

— Słusznie. Natomiast obchodzi nas to, że zajmiesz miejsce kogoś lepszego.

Tymczasem Colin rzeczywiście pragnął iść na wojnę, podobnie jak zawsze pragnął naśladować przykład Jerrolda; pragnął tego tak mocno, że mu się to wydawało rodzajem dogadzania sobie; a owo „zajmowanie miejsca kogoś lepszego" tak mu się wżarło w duszę, że niemal postanowił dać za wygraną, skoro tej właśnie ofiary żąda się odeń. Powtórzył Queenie, co mu Eliot powiedział.

— Dobrze, — oświadczyła Queenie — tylko wiedz, że jeśli nie pójdziesz, to ja pójdę od ciebie. Nic mi po mężczyźnie o zajęczem sercu.

— Czy ty naprawdę nie rozumiesz, — rzekł Colin (w tej chwili nienawidził jej prawie) — czego się boję? Że będę nieznośnym zawalidrogą. Tak przepowiada Eliot. Nie wiem zresztą, skąd on wie.

— Eliot nie jest wszechwiedny. Gdyby m ó j brat odmawiał mię od pójścia na front, prędkobym go posłała do djabła. Przysięgam ci, Colin: jeżeli się wymigasz, więcej się do ciebie nie odezwę. Nie zmuszam cię do czegoś, przed czem sama tchórzę.

— Ach, umilknij. Pójdę, pójdę. Nie dlatego, że ty mię prosisz, lecz że sam tego chcę.

— W przeciwnym razie czułbyś się chyba dosyć głupio, gdy ja będę w polu, z ambulansem — rzekła Queenie.

— Do licha twój ambulans... Nie, nie, staruszko, żartuję; prześlicznie z twej strony, że wyruszasz. Ale nie trzeba mi mówić, żem tchórz. Może kiedyś stchórzę. Nikt nie może za siebie ręczyć, dokąd nie wypróbuje siebie. Lecz miałem najlepsze chęci, póki mię Eliot nie odwiódł od zamiaru.

— Ba, jeśli tak łatwo cię odwieść o...

Była niemożliwa. Zdawała się mniemać, że Colin zaciągnie się dlatego tylko, iż go zawstydziła.

Tego wieczoru śpiewał sobie:

„Co czynisz przez cały dzień, Rendalu, synu mój,
Co czynisz przez cały dzień, dziecino miła?"

Teraz rozumiał tę pieśń.

„Co zostawisz swej lubej, Rendalu, synu mój?
Co zostawisz swej lubej, dziecino miła?
— Postronek, matko, by się powiesiła,
Postronek, matko, by się powiesiła..."

— Dobra, Colinku! — zaśmiała się Queenie na tarasie swym twardym, okrutnym śmiechem.

„Bo mię serce boli i chętniebym zległ."

— „Bo mię serce boli i chętniebym zległ" — powtórzyła Queenie jak szydercze echo.

Nienawidził jej.

I kochał ją. W nocy, w nocy, przeinaczała się, była czuła i namiętna, dotykała go szybką, pośpieszną pieszczotą, zarzucała mu ramiona na szyję i przyciągała ku sobie, całując i całując. Przy tem młodem, pięknem ciele, ciasno do siebie przytulonem, przy tych ustach na jego ustach, przy tych oczach wielkich i świetnych w ciemności, Colin zapominał.

3.

AMBULANS DR. CUTLERA,
LAZARET BRYTYJSKI,
ANTWERPJA
20 września 1914

„Najdroższa ciociu Adelino.

„Nie mogłam dotąd napisać. Walka wre dookoła i jesteśmy strasznie zajęci zwożeniem rannych. Po pracy zaś jest się zbyt zmęczoną, by zasiąść do pisania listów. Człowiek wali się do łóżka i zasypia. Często gęsto pracujemy przez pół nocy.

„O mnie się nie niepokój. Czuję się wybornie. Cieszę się teraz, żem zawsze żyła na powietrzu, uprawiała sporty, orała własną ziemię. Mam mięśnie twarde jak istny wiarus. Queenie również. Bo, uważasz, musimy nietylko kierować samochodami, lecz i dźwigać nosze. Nic tu po kimś, kto nie zdoła nosić swych rannych.

„Queenie jest poprostu wspaniała. Naprawdę nie wie, co to strach, a już najlepsza jest w ogniu. Zdawałoby się, że ogień ją podnieca i rozzuchwala. Chcąc nie chcąc widzę, jaki z niej zuch, choć była tak niegodziwa względem biednego Colinka, nim się nie zaciągnął. Słusznie jednak mówią, że wojna wydobywa z człowieka, co w nim jest najlepszego. Trzeba widzieć Queenie, gdy się krząta koło rannych. Dr Cutler (komendant) jest nią zachwycony. Queenie kieruje jego samochodem, a ja — samochodem małego doktorka, co się nazywa Ryś Cartwirght. Bardzo to zdolny i przyzwoity chłop. Queenie go nie lubi. Nie rozumiem czemu.

„Dowidzenia moje złotko. Nie zaniedbuj swego zdrowia.

„Kochająca cię

ANNA"

ANTWERPJA
3 października

„...Pytasz, co myślę rzeczywiście o Queenie przy bliższem poznaniu. Otóż komitywa jest istotnie bardzo bliska i wiem, że ona mnie poprostu nienawidzi. Była wściekła, dowiedziawszy się, że mamy pracować w tym samym oddziele. Ciągle stara się doprowadzić do awantury. Radaby wysiudać mię z Belgji, ale ja chcę tu pozostać jak najdłużej, więc nie kłócę się z nią, a sama jedna kłócić się nie może. Lecz gdy zaczynam być o niej złego zdania, powiadam sobie, jaka ona przepyszna, jaka odważna, jaka zręczna w robocie. Nie dziw, że połowa pułku durzy się w niej. Pewien belgijski pułkownik, zwierzchnik Cutlera, popełniałby dla niej szaleństwa, gdyby pozwoliła. Ale poczciwa stara Queenie zajęta jest tylko pracą i zachowuje się, jakby nie było tu mężczyzn. To ich jeszcze gorzej rozjątrza. Myślisz zapewne, że tu niema czasu na takie głupstwa; ale aż dziw, w jaki nastrój można się tu wprawić w ciągu krótkich wolnych chwil. Ryś powiada, że to wojna dodaje ostrogi i ułatwia wszystko. Nie wiem..."

FURNES
Listopad

„Oto gdzie teraz jesteśmy. Literalnie nie mogę opisywać odwrotu. Było to zbyt straszne i nie chcę o tem myśleć. „Stoimy" teraz w zarekwirowanym domu i z pewnością będziemy tu siedzieć, póki nas nie wypędzą pociskami.

„A propos pocisków. Queenie jest śmieszna. Jest zupełnie zła, gdy ktokolwiek oprócz niej znajdzie się blisko pocisku. W Ostendzie najęliśmy jeszcze dwóch sanitarjuszy i zabawną paniusię w średnim wieku do pracy kancelaryjnej. Cutler uczynił z niej rodzaj sekretarki. Zrazu Queenie była tak wściekła, że nie chciała z nią gadać i przysięgała, iż ją stąd wykurzy. Lecz skoro wyszło najaw, że paniusia ani myśli wysuwać się na niebezpieczne miejsca i zajmuje się tylko kuchnią oraz rachunkami, ułagodziła się i była całkiem przyzwoita. A naprzykład wczoraj panna Mullins przyszła z zawiadomieniem, że odłamek pocisku urwał węgieł jej kuchni. Biedna stara była strasznie dumna i uszczęśliwiona, ale Queenie wykpiła ją niemiłosiernie, mówiąc, że żadnego niebezpieczeństwa tam nie było i pytając, jakby się jej podobało pobyć cały dzień w ogniu, jak my tutaj.

„I była okropnie zła na mnie, że mi się poszczęściło być przy bombardowaniu Dixmude, a jej nie. Mówiła tak, jakbym ją umyślnie usunęła od tej przygody. Tymczasem tak się poprostu złożyło, że ja byłam na miejscu z ambulansami, ona zaś ze swym samochodem pracowała gdzie indziej. Ryś powiada, że to pewna odmiana wojennego snobizmu; (on nie ma w sobie tego ani krzty). Ale mnie się zdaje, iż prawdziwym powodem jest jej ustawiczny strach, by które z nas nie zostało zabite. Chyba tak. Nawet Ryś przyznaje, że Queenie jest przepyszna, choć jej nie lubi..."

4.

Pięć miesięcy później.

DWÓR
WYCK-NA-WZGÓRZU
HRABSTWO GLOUCESTER
30 maja 1915

„Moja miła Aniu,

„Queenie już chyba powiedziała ci o Colinie. Przebył on całe to okropne bombardowanie Ypres w kwietniu. Po dwukrotnej kontuzji przeleżał trzy tygodnie w lazarecie w Boulogne; obecnie jest już w kraju i znajduje się w Lecznicy Oficerskiej w Kensington. Ani trochę mu nie lepiej. Doprawdy sądzę, że Queenie należałoby wziąć urlop i przyjechać do niego.

„Eliot miał zupełną słuszność. Nie powinien był się wogóle zaciągać. Oczywiście był tak odważny jak najodważniejsi — po pierwszej kontuzji szedł jeszcze na bagnety — lecz jego nerwy nie mogły tego wytrzymać. Nie wiem, czy go leczą prawidłowo czy nie, dość, że nic pono dlań uczynić nie zdołają.

„Piszę do Queenie. Ale i ty jej powiedz, żeby przyjechała.
„Twoja kochająca ADELINA FIELDING."

Trzy miesiące później.

DWÓR
WYCK-NA-WZGÓRZU
HRABSTWO GLOUCESTER
30 sierpnia

„Kochana Aniu.
„Colina zwolniono wreszcie jako nieuleczalnego. Jest tu ze mną. Tak jestem rada mieć go biedaczka przy sobie. Ale mój Boże, jego nerwy są w okropnym stanie — poszarpane kompletnie. Jest on zupełną ruiną, mój śliczny Colin; serceby ci krwawiło na jego widok. Nie sypia nocami, wciąż słyszy pociski; a jeśli i zaśnie, to śni o nich i budzi się z krzykiem. Straszne to: męski krzyk. Aniu, Queenie musi wrócić i doglądać go. Moje nerwy się kończą. Sypiam nie więcej niż Colin. Leżę bezsennie, czekając na jego krzyk. Nie mogę wziąć na siebie jedną całej odpowiedzialności, doprawdy nie mogę. Ostatecznie jest jego żoną i zmusiła go iść na wojnę, choć dobrze znała przepowiednie Eliota. Jakie to okrutne, że przytrafiło się to właśnie Colinkowi.
„Zmuś tę kobietę do powrotu.
„Twoja kochająca ADELINA FIELDING."

NIEUPORT
5 września 1915

„Kochana Ciociu,
„Tak mi ciężko na myśl o biednym Colinku. I całkowicie się zgadzam, że Queenie winnaby wrócić i doglądać go. Lecz ona nie chce. Powiada, iż ma tu daleko ważniejszą pracę i że nie może opuścić setek rannych żołnierzy dla jednego. Oczywiście, postępuje wspaniale, i Cutler powiada, że nie może się bez niej obejść i że wręcz szkoda jej na pielęgniarkę jednostki. Uważają tu, że krewni Colina powinni się nim opiekować. Żadnej dla nich nie gra roli, że to jej mąż. Przywykli patrzeć na każdego jak na kółeczko w machinie. Jeszcze byłby jaki taki sens, — powiadają — gdyby Colina można podleczyć i wysłać znów na front. Ale tak, to poprostu szkoda Queenie.
„Natomiast mnie udzielił Cutler urlopu na krótki wyjazd do was. Może będę w Wyck równocześnie z tym listem.
„Złoty Colinek: pragnęłabym móc coś dla niego zrobić. Czuję, że nigdy, nigdy nie zdołamy uczynić dlań dosyć po tem co on przeszedł. Że też Eliot wiedział wszystko zgóry.
„Twoja kochająca ANNA."

NIEUPORT
7 września 1915

„Droga Panno Anno,
„Skoro już pani odjechała, czuję się w obowiązku poradzić, że może lepiej byłoby nie wracać. Mam tu na pani miejsce mężczyznę. Queenie znalazła go w Dunkierce w dniu pani odjazdu; jest wcale do rzeczy.
„Chodzi o to, że teraz powodzi nam się lepiej. Mamy zupełny spokój. Wszak pani i Queenie nie bardzo się godziły, w takiej zaś robocie jak nasza nieodzowną jest koniecznością, by wszyscy pracowali jak jeden mąż. To na nic, kiedy dwie osoby w jednym oddziele idą wiecznie na udry.
„Przykro mi panią tracić i przyznaję, że pracowała pani doskonale. Ale muszę wybierać pomiędzy Queenie a panią, to też opowiadam się za Queenie chociażby dlatego, że jest u mnie od początku. Więc teraz, kiedy pani się od nas wyrwała, korzystam ze sposobności i proszę o Jej rezygnację. Osobiście jest mi to przykre; ale dobro wojska przedewszystkiem.
„Szczerze oddany ROBERT CUTLER"

(C. d. n.)

„ZWIASTUNKA DŁUGIEJ POGODY"

Wyszła Nakładem Ossolineum książka bardzo lwowska i bardzo urocza. Autorka — Zofja Romanowiczówna — dała jej tytuł „Cienie", choć raczej światła biją z tych kart, z długiego, jasnego życia oderwanych, kart, na których, dziewiątym krzyżykiem życia i Krzyżem Odrodzonej Polski osrebrzona, spisała wspomnienia o czasach i ludziach nie bylejakich. Poprostu, żywo, rzetelnie.



ZOFJA ROMANOWICZÓWNA

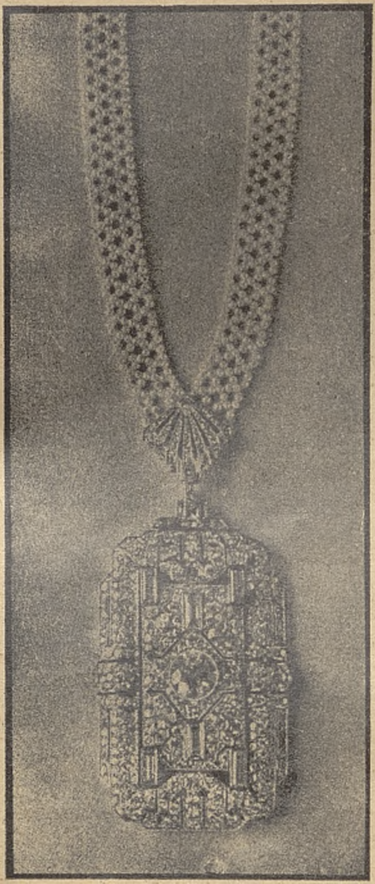
Córka wybitnego adwokata a siostra Tadeusza Romanowicza, męża stanu i świetnego publicysty, entuzjastka, patrjotka, pozatem przez lat czterdzieści oddana nauczycielskiemu zawodowi pracownica niestrudzona, rosła w atmosferze najczystszej i najwyższej na jaką było stać owe lwowskie czasy. Bywali w domu jej rodziców generał Dwernicki i pułkownik Plagowski jego adjutant, a potem Pol, Lenartowicz, Asnyk, składali w polotnych strofach hołd w sztambuchu „dziewczątka z orłem białym". Tę, nad której dzieciństwem huczały bomby Hammersteina, nazwał w cudnym wierszu Kornel Ujejski „Zwiastunką długiej pogody". Jej rękę całując, ukląkł Mieczysław Romanowski, gdy dnia 1. lutego 1863, żegnał się, odchodząc na zawsze i prosił pannę Zofję o błogosławieństwo i listek bluszczu jako godło nadziei... A dziś Stanisław Wasylewski tak pisze w czarującym, pannie Zofji poświęconym fejletonie z Poznania: „Zwiastunka długiej pogody doczekała. I cieszy się za tych wszystkich rówieśnych, którzy nie doczekali. Cieszy się Odrodzoną Polską, za tych, dla których kule lała przed półwiekiem, za zmarłych i za poległych w styczniowej wojnie. Cieszy się za Romanowskiego i za Grottgera, za Asnyka i za Lenartowicza. To samo bowiem bije w niej serce, które przed półwiekiem chciało za cały naród płakać." A potem jeszcze o spisanych przez nią wspomnieniach, jako że zawarty w nich jest: „cały wielki szmat życia lwowskiego. Od pierwszych lat dzieciństwa, od straszliwych wrażeń bombardowania Lwowa w r. 1848, poprzez szpital bernardyński w Sokalu", gdzie panna Zofja w r. 1863 dyżurowała... Potem sylwetki, portrety — „ale o sobie jak najmniej". Pomimo to, stwierdza Stanisław Wasylewski: „zawarte są w pamiętniku dzieje duszy „białej, lśniącej w każdym locie" — tej samej do której pisał Ujejski:

„Nazwą ciebie pajęczyną,
Lecz ja, człowiek z prostej wioski,
Wiem, że jesteś nad krainą,
Śliczną przędzą Matki Boskiej!"

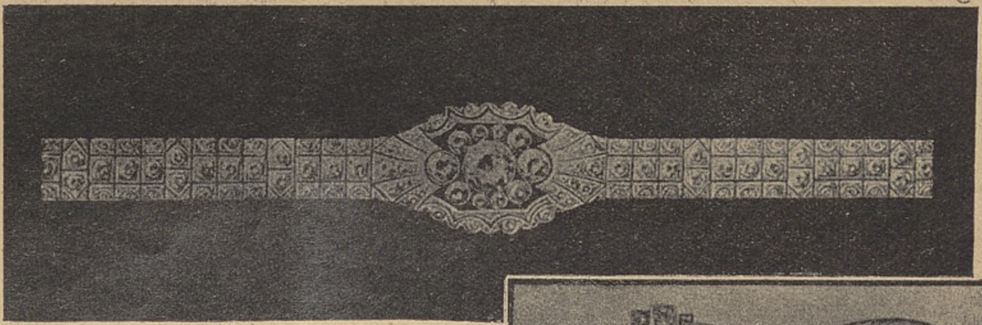
Jednem słowem, wyszła książka bardzo lwowska i bardzo urocza.

MARYLA WOLSKA

MODNA BIŻUTERJA: PRAWDZIWA I T. ZW. PÓŁSZLACHETNA



3.



4.



5.

1. — Suknia popołudniowa z czarnej jedwabnej krepy lub z żorżety wełnianej. Kołnierz z białej żorżety. Kapelusz, rękawiczki, torebka, pantofelki — czarne. Pończochy perłowo-szare.

2. — Jedyne racjonalne, celowe i szykowne kalosześniegowczyki, o cholewce sięgającej do kolan, z materjału trykotowego, impregnowanego; zapięcie patentowe. Dołem obłożone gumą. Ohydne półcholewki, obłożone nędzną imitacją baranków, lub lśniące cholewy, przypominające rosyjskich mużyków, rażą na bruku miejskim, przy garderobie nawskróś kobiecej, przy płaszczach z godetami, i wytwornych szczegółach. To też żadna kobieta, mająca smak i poczucie harmonji stroju, nie nosi tych niesmacznych dziwolągów.

3. — Medaljon złoty z rubinami. Robota ażurowa; szeroki, długi łańcuch najnowszego typu.

4. — Złota branzoleta, ozdobiona blado-zielonemi turmalinami.

5. — Modne formy pierścionków złotych z kamieniami półszlachetnemi (2 wgórze) i z diamentami (2 wdole), które są obecnie faworytami wśród kamieni szlachetnych.

6. — Branzoleta z metalu „doublé", ozdobiona barwną emalją.

7. — Branzoleta z palonego srebra, ozdobiona półszlachetnemi kamieniami.

8. — Medaljon na długim łańcuchu; robota ażurowa w srebrze palonem, w środku turkus.

9—10. — Modne długie kolczyki; półszlachetne.

11. — Pięknie wypracowany pierścień złoty z diamentami.

12. — Oryginalny medaljon, z materjału i kamieni półszlachetnych.

Uwagi ogólne: Biżuterja półszlachetna jest dozwolona zawsze i wszędzie, byle była stonowana ze strojem i nie wyzywająca kolorytem lub wielkością kamieni.



6.

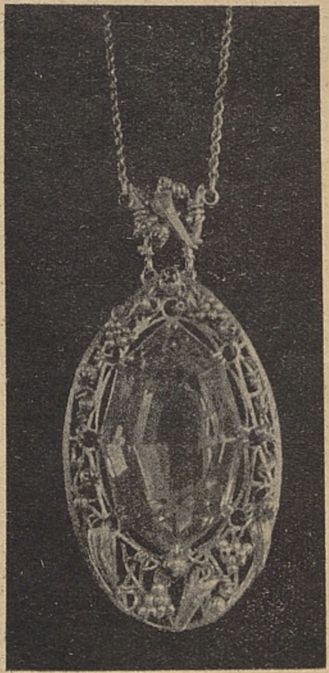


7.

Właścicielki szlachetnej biżuterji noszą ją po południu i wieczorem do strojniejszych toalet.

Wszystkie rodzaje i odmiany biżuterji półszlachetnej zdobyły prawo obywatelstwa prócz — pierścionków. Te muszą być szlachetne, albo... żadne.

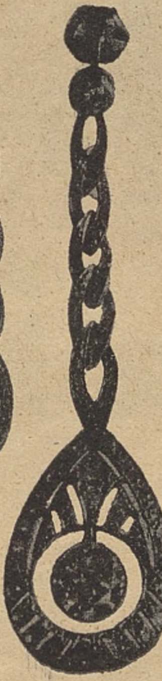
Długie łańcuchy, które obecnie pojawiły się przy medaljonach, nie dla każdej kieszeni są dostępne i nie do każdej toalety odpowiednie. Wąziutkie aksamiteczki zastępują je z powodzeniem, a są o tyle lepsze, że można je dobrać ściśle do koloru sukni, lub skontrastować z nią efektownie.



8.



9.



10.



11.



12.

MODELE MÓD
TOALETY BALOWE I NAJMODNIEJSZE FRYZURY



1016 Suknia z blado-żółtej mory. Krój jednolity, równy, lekko zbluzowany; poniżej pasa począwszy liczne, fantazyjne wolanty, nierównej długości.
1017 Suknia z velours-chiffon i lamy; kolory: czarny i opalizujący srebrnie z niebieskim. Model do przeróbek.
1018 Suknia z crêpe satin w kolorze dahlia; tunika z koronki jasno-perłowej. Pasek metalowy w kolorze koronki z emaljowaną klamrą. Model do przeróbki.
1019 Suknia z koronki jasno-zielonej; oryginalne przybranie w formie fartuszka, związanego wtyle, z tiulu do tonu.

Wszystkie modele wykonano z wyrobów krajowych. Na żądanie kroje i bliższe objaśnienia.

TOALETY POPOŁUDNIOWE



1020 Suknia z wzorzystej krepy chińskiej. Poniżej długiego stanika o nierównym obwodzie, kloszowa spódniczka. Pas zaznacza zbluzowanie. Kołnierzyk z żorżety. Model strojniejszy.
1021 Suknia z cienkiej wełny chinée. Bluzka z baskinką kloszową, pasek z materjału z klamrą ozdobną. Spódniczka wtyle gładka, zprzodu kloszowa.
1022 Suknia z wełnianej żorżety koralowej; kołnierzyk z żorżety koioru kości słoniowej. Guziki do tonu. Krój jednolity, dołem kloszyki wstawiane, poniżej pasa fantazyjnie rozmieszczone zakładki.
1023 Suknia z jedwabiu faille, lub z żorżety w kolorze zielonym „jade". Karczek odcinany, zakładeczki wzdłuż dookoła. Obfite wolanty, nierównej długości, wstawiane. Model strojniejszy, na dancingi, do teatru.

Materjały wyłącznie krajowe.

Kroje i bliższe objaśnienia na żądanie.



1024 Suknia z jersey-tweedu w kolorze beige. Bluzka gładka z wykładanym kołnierzykiem, przybrana zprzodu partją zakładeczek. Spódniczka po wierzchu z odcinaną baskinką, której dwie patki zachodzą na bluzkę. Po bokach układane fałdy.

1025 Suknia z granatowej wełnianej chińskiej krepy. Bluzka po wierzchu z paskiem. Kołnierz z białej żorżety. Spódniczka gładka, zprzodu układane fałdy.

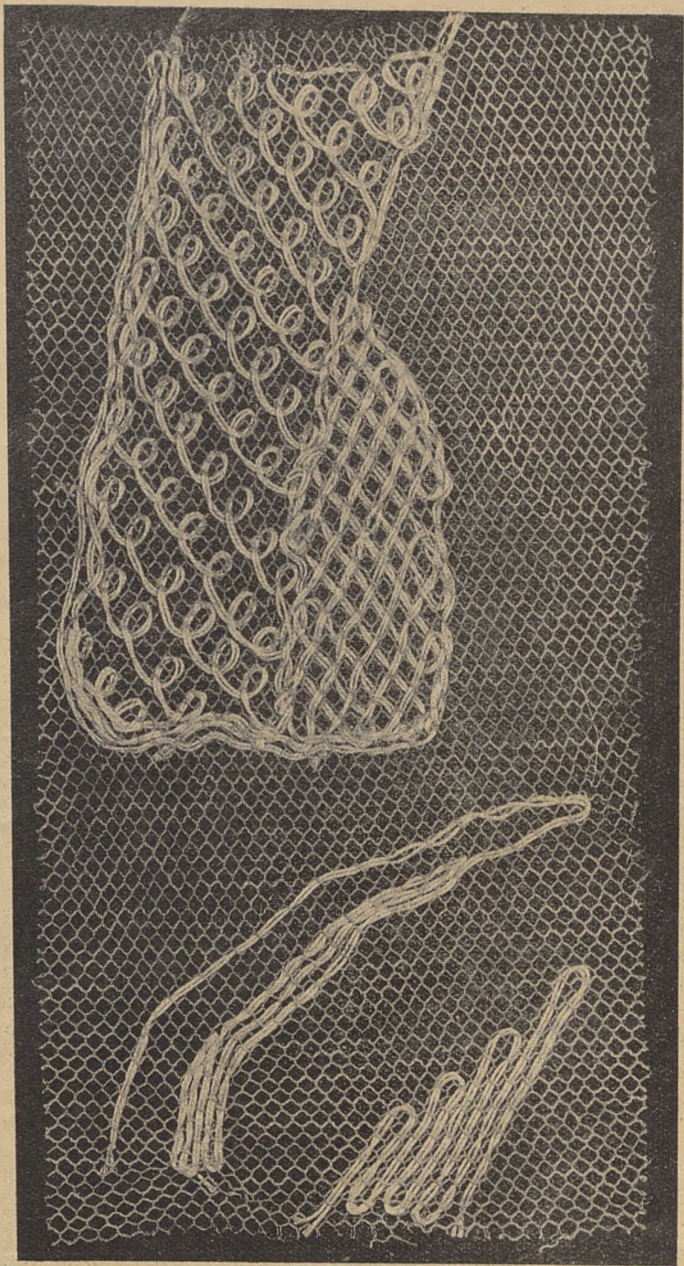
1026 Suknia z brunatnego marocain. Krój jednolity, na biodrach zakładeczki, zprzodu wstawione głębokie cztery fałdy. Kolorowa borta jako pasek i ozdoba bluzki. Przy szyi zakładeczki.

1027 Suknia z wełny djersalic w kolorze fiołkowym. Krój jednolity, zbluzowany, pasek zamszowy do tonu. Wolant kloszowy. Kołnierz biały z jedwabiu do prania, guziczki stonowane.

Materjały krajowe. Kroje na żądanie.



Rys. 272.



Rys. 274.

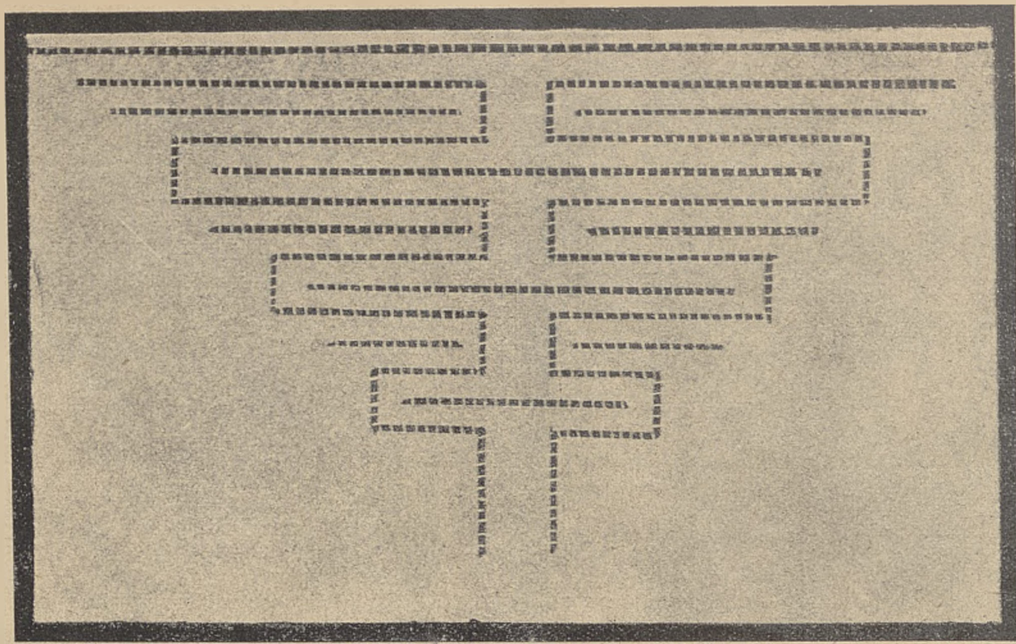


Rys. 273.

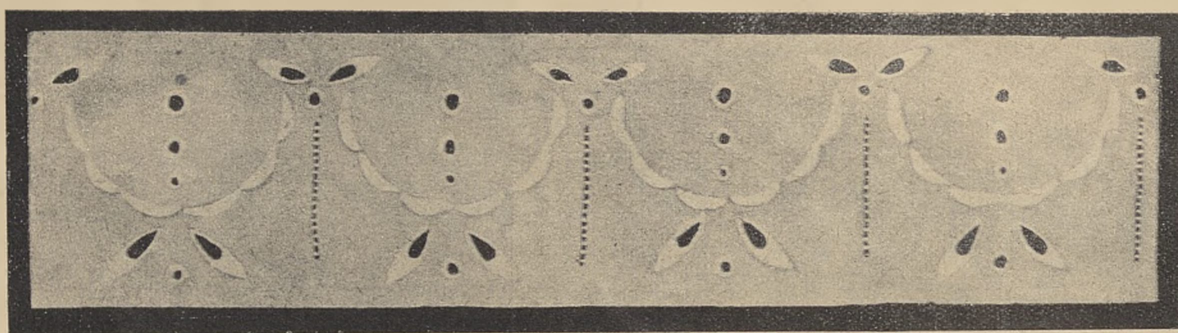
Rys. 272. — KRÓTKIE STORY Z TIULU. Oryginalność tej story polega na asymetrycznem zestawieniu tiulu z opalem albo markizetą. Wyszycie wykonywa się częścią przewlekaniem, jak np. kontury i liście, częścią dzierganiem, przyczem chwyta się 3 oczka w odstępach 2 oczek. Niektóre szczegóły pnia wypełnia się cerowaniem. Jako zakończenie kutasy. Do wyszycia użyć mouliné albo zwykłej bawełny do haftu nr. 25, podwójnie wzięte. Tło tworzy gruby tiul na firanki. Wzór należy przenieść kalką na tiul. Szczegóły są uwidocznione na próbce.

Rys. 273. — SERWETKA TIULOWA. Wzór podobny do wzoru story, wyszyty temi samemi ściegami. Wokoło aplikowane zęby z opalu. Wielkość 17 cm w średnicy.

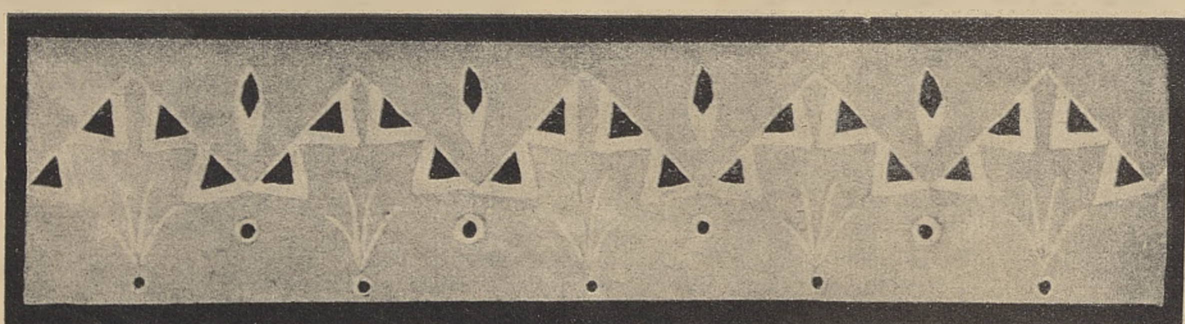
Rys. 274. — ŚCIEGI NA FIRANCE: dzierganie, cerowanie, przewlekanie.



Rys. 275



Rys. 276

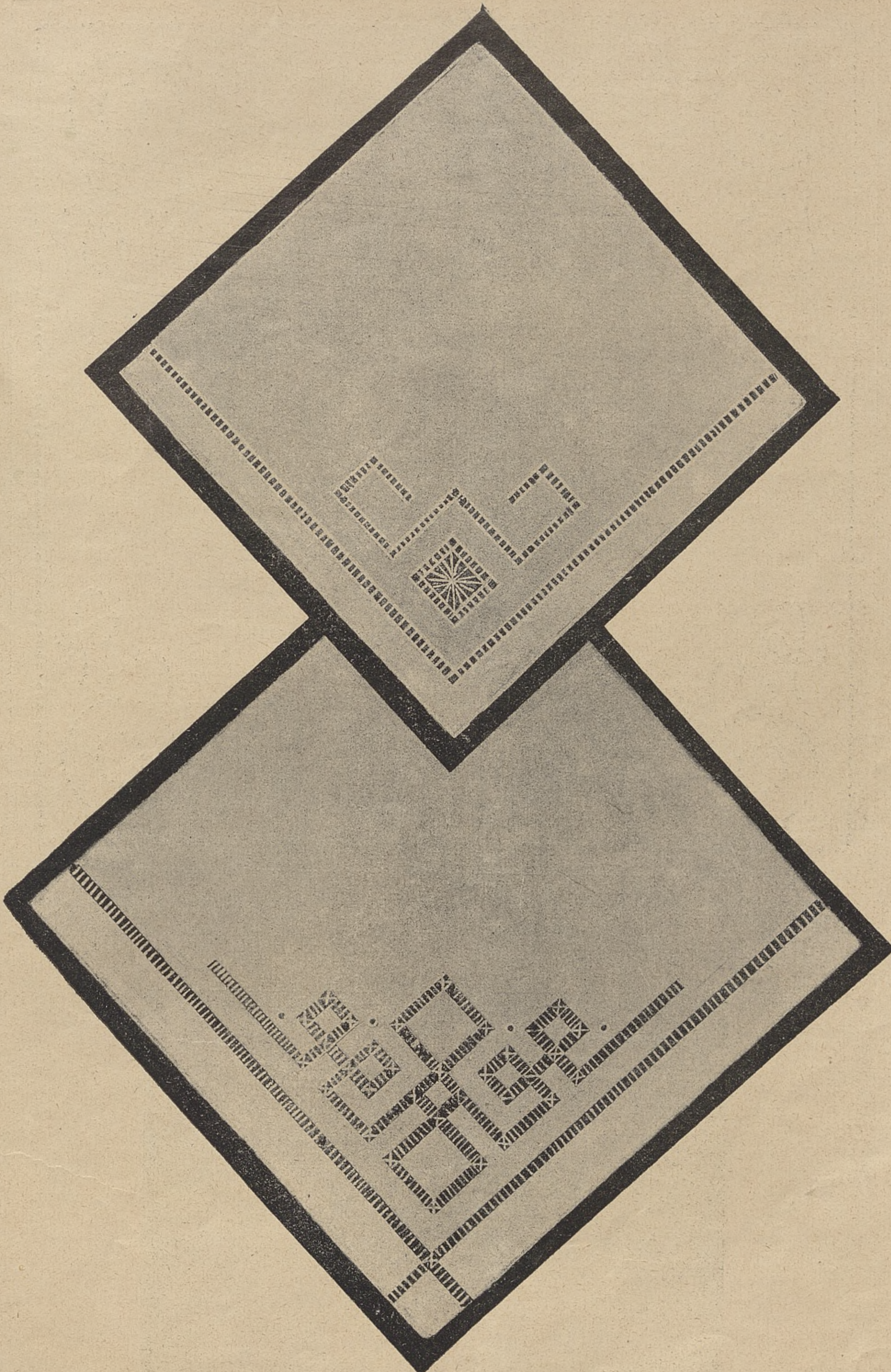


Rys. 277

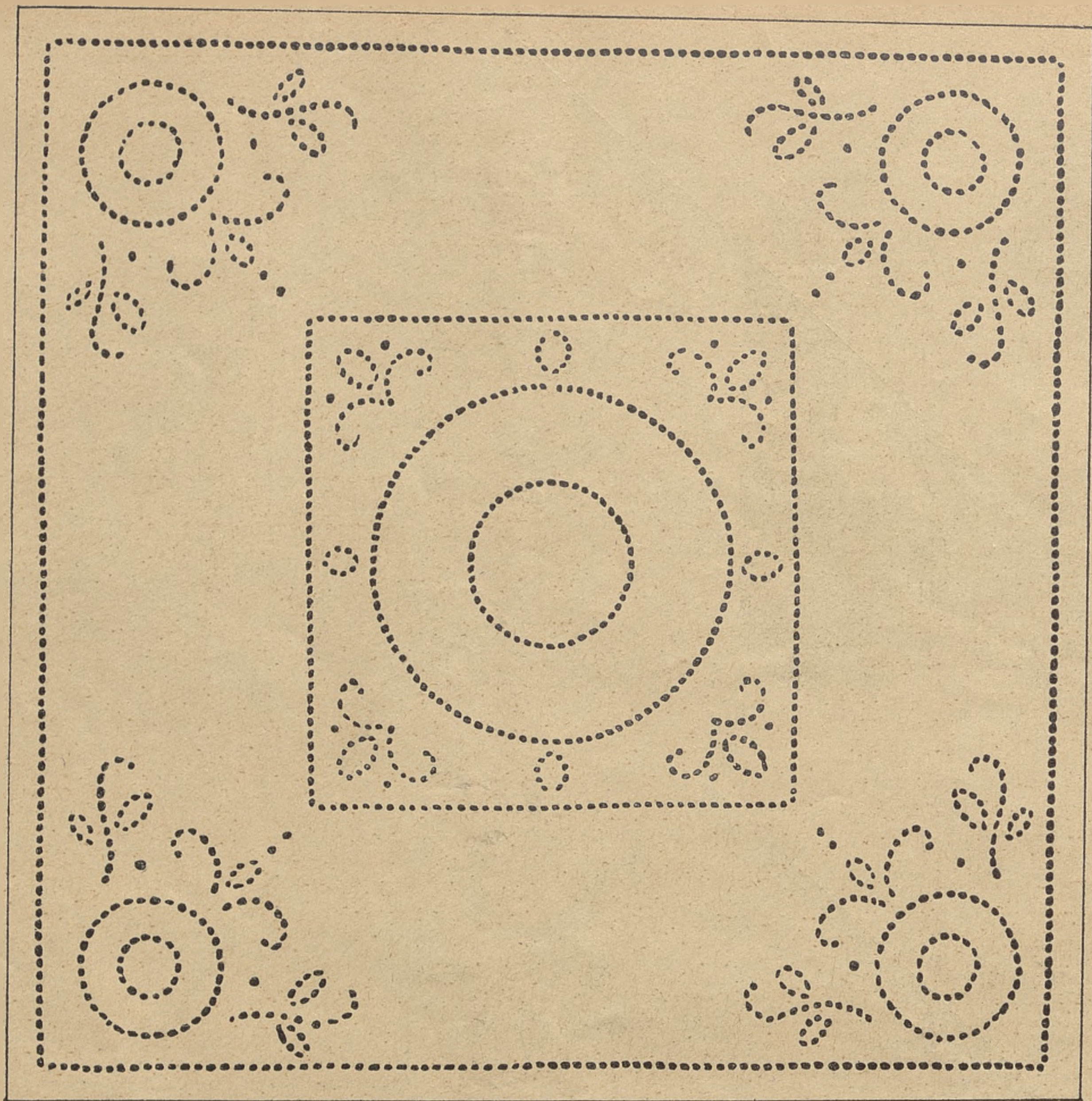
Rys. 275. — MOTYW naturalnej wielkości na przód nocnej koszuli damskiej wykonany mereżkami.

Rys. 276—277. — WSTAWECZKI DO BIELIZNY DAMSKIEJ wykonane haftem angielskim, płaskim i mereżkami. Wielkość nat.

Proj. prof. Stefan Kacprowski.



Rys. 278—279. — ROGI DO CHUSTECZEK; wzory naturalnej wielkości. Wykonanie: mereżki, hafcik angielski, pajączki. Proj. prof. Stefan Kacprowski.



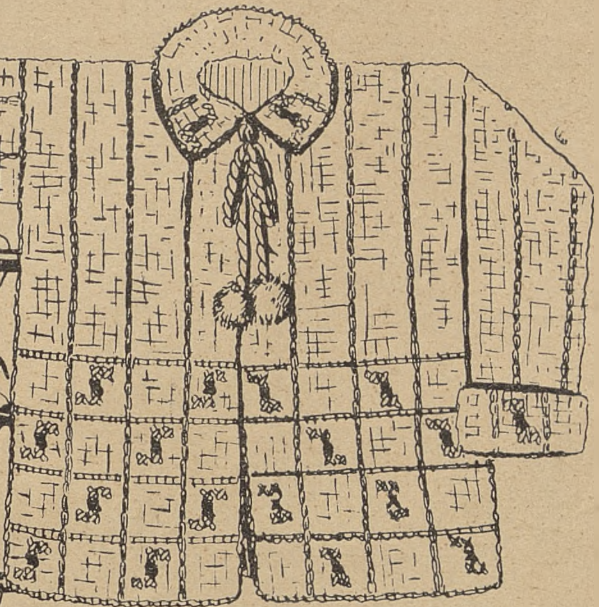
Rys. 280. — SERWETA NA STÓŁ: wykonana na płótnie lnianem, ściegiem Madeira i dziureczkami. Wzór ten może być użyty na każdą wielkość.
Proj. Józef Babiak.



Rys. 281. — PODUSZKA; aplikacja kolorowych sukienek na czarnem tle. Kontury zahaftowane filoflosem. Linje wykonane dwoma rzędami wodnego ściegu. Kolory: zielony, ciemno-niebieski, poziomkowy; środki żółte. — Wyk. w Państw. Szkole Zaw. żeń. (Lwów).

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO







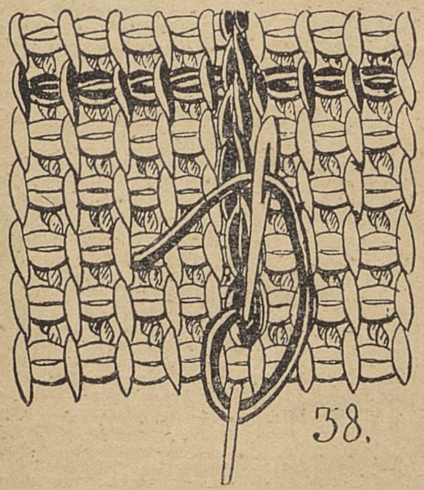
35.



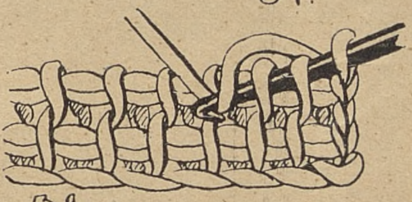
36.



37.



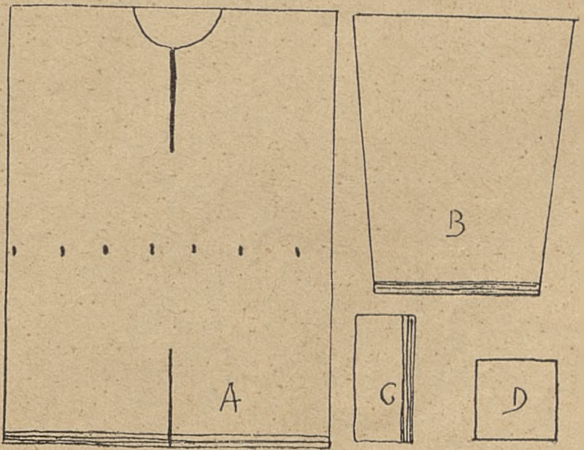
38.



39.



40.



Bardzo gęsty jest ścieg tunetański, przytem bardzo łatwy i szybki do wykonania. Istnieje kilkanaście rodzajów tego ściegu, a przez kombinowanie ich powstają najrozmaitsze wzory. Najczęściej używany bywa ścieg, który tu pokazujemy. Można na nim wyszywać krzyżyki bez kanwy i podobnie jak na trykocie robionym na drutach, tworzyć kratkę zapomocą rzędów wrabianych i naszytych ściegiem łańcuszkowym.

Na ścieg tunetański nadaje się tylko grubsza włóczka, zaś najpiękniej wychodzi miękka. Szydełko musi być dość długie i równe; im cieńsze, tem gęściejsza będzie tkanina. Najlepiej dobrać szydełko dwa razy tak grube jak włóczka.

Ścieg zaczyna się łańcuszkiem długości odpowiadającej szerokości danego kroju. Pierwszy rząd polega na tem, że przewleka się nitkę przez każde oczko łańcuszka, przyczem tak powstałe oczka pozostają w s z y s t k i e n a s z y d e ł k u, rys. 35. Przy drugim rzędzie przerabia się zawsze po 2 oczka z szydełka, aż pozostanie na niem tylko 1 oczko. Roboty nie odwraca się, tylko robi się tam i zpowrotem zawsze z prawej strony. Przy następnych rzędach nabiera się oczka na szydełko przez przewlekanie przednich nitek poprzedniego rzędu, rys. 37, zpowrotem przerabia się znowu po 2 oczka razem.

Odejmowanie nie przedstawia żadnych trudności, mianowicie przy nabieraniu oczek przewleka się poprostu nitkę przez 2 oczka zamiast przez jedno oczko poprzedniego rzędu, rys. 39. Gdy trzeba dobrać, należy przewlec nitkę przez oczko od tyłu, rys. 40, a następnie przez to samo oczko od przodu, a.

Przy wrabianiu rzędów z innego koloru należy koniec włóczki przywiązać z prawej ręki, nabierać oczka, a po powrocie tą samą włóczką zostawić nitkę z boku, o ile rzędy te mają być powtórzone. W innym wypadku należy urwać. Rysunek 38 uwidocznia, w jaki sposób powstaje kratka. Przy wyszywaniu ściegiem łańcuszkowym należy chwytać po jednem poprzecznem oczku każdego rzędu.

Ubranko dla chłopczyka zrobione w sposób wyżej opisany. Kratka ma każdy szósty rząd z odmiennej włóczki, zaś paski podłużne wrobione w każdy szósty rząd poprzecznych oczek. Regularność oczek w obu kierunkach zależy od odpowiednio dobranego szydełka.

Krój ubranka jest zupełnie prosty. Zmierzyć długość od ramienia do końca spodenek i objętość w biodrach, podzieloną przez połowę. Szerokość powinna być suta. Rękawki od końca ramienia po przegub z dodatkiem na mankiet, który dorabia się z lewej strony ze względu na wywrócenie. W kroku krój będzie rozcięty, jako klin wszywa się kwadrat D. Połowę kołnierzyka prostego przedstawia C.

Kaftaniczek dla małego dziecka, wyszyty krzyżykami, wygląda bardzo milutko. Jednak ten sam model może służyć i dla dorosłych jako kaftaniczek do łóżka na rano i wieczór albo dla chorych i rekonwalescentek.

Z. KULCZYCKA

KĄCIK PRAKTYCZNY



KOSTJUMY Z RESZTEK

Na kostjumy maskowe niechętnie wydaje się większe sumy, gdyż przeznaczone są na jeden wieczór, a rzadko dadzą się przerobić. Kostjumy rodzaju takiego, jaki podajemy dziś, widuje się często na światowych balach maskowych, a zużyte na nie materjały są umyślnie na ten cel kupione. Nie trzeba się więc obawiać, że mogłyby zrobić wrażenie łatanych.

Każda z pań posiada jakieś niemodne suknie i kawałki, pozostałe z różnych toalet. Można je uzupełnić materjałem dokupionym, jeśli resztki nie wystarczą, i ułożyć strój w ten sposób, żeby jeden materjał dominował.

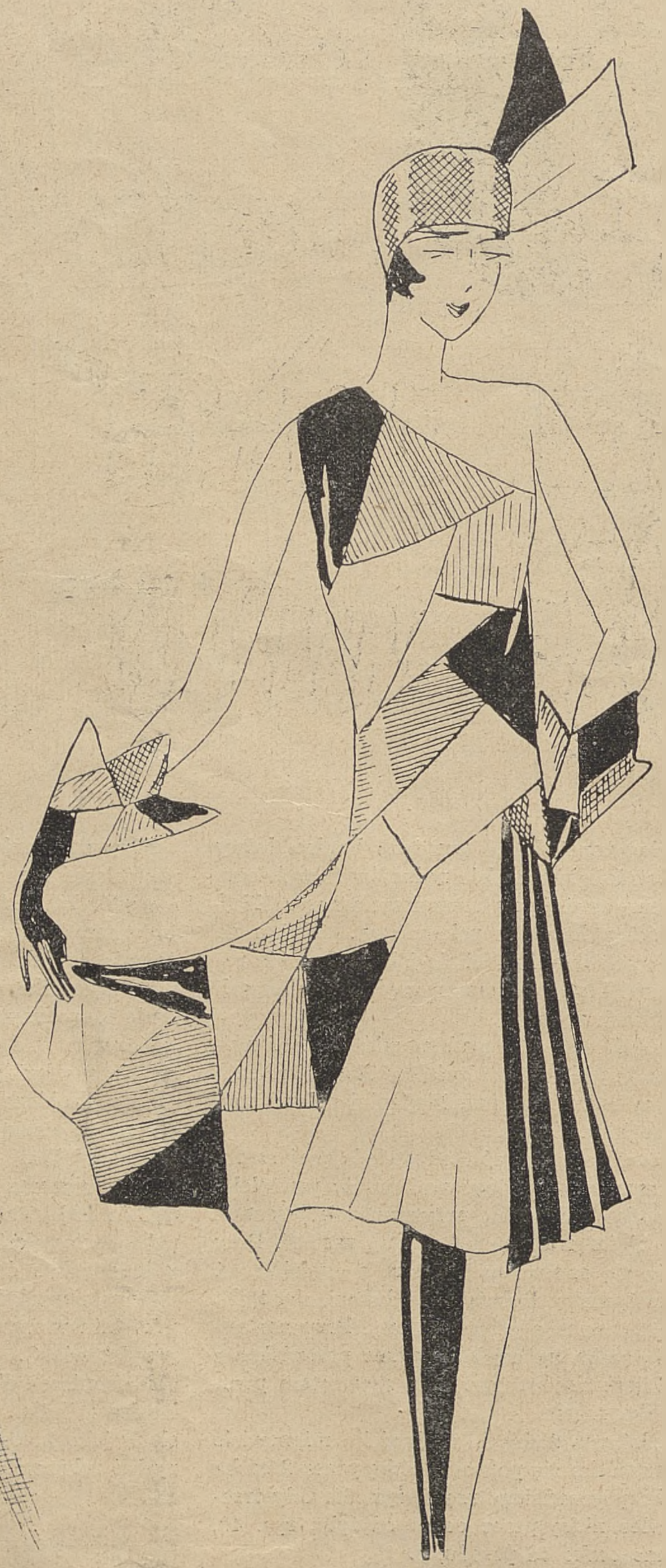
PŁATKI KWIATÓW

Jako podstawa służy niemodna wąska suknia dowolnego koloru. Z tiulu, albo z innego materjału powiewnego i niedrogiego, dodaje się części kloszowe po bokach i małą pelerynkę. Z małych resztek jedwabiu różnego koloru pokrajać jednakowe płatki i harmonijnie pomieszane, przyszyć do dolnych brzegów kloszowych części i pelerynki. Na staniku duży barwny motyl, w rękach bukiet z tych samych płatków jedwabiu; ramię owinięte zieloną wstążeczką zamiast bransolet.

Na głowie zawój z materjału, z którego wykonane są klosze, zboku pęk zielonych łodyg z jedwabiu albo wstążeczek, któremi owinięte są druciki.

Szczegóły uwidoczniają, jak robi się kwiaty z płatków. Zbiera się poprostu po kilka razem za koniec druta, po zakręceniu owija wstążeczką, albo ukośno pokrajanym jedwabiem. Płatki nieobrębione przyszywa się do brzegu części kloszowych kilku ściegami dzierganemi.





MOZAIKA

Stanik złożony z różnych kawałków dowolnie dobranych. Przód spódniczki z dużego kawałka, tył i bok z kawałków złożonych kloszowo i o nierównym brze u, drugi bok ułożony w kilka fałdów z większego kawałka jedwabiu. Rękawiczki wykończone mankietami z kawałków, na głowie zawój i dwa skrzydła w różnych kolorach. Skrzydła te na eży podeprzeć drutem wszytym w zwinięte brzegi. Dwie różne pończochy dostosowane do kolorów przodu i boku dodają oryginalności.

Tak jak na pierwszy strój stosowniejsze są pastelowe barwy, drugi zyska na efektowności przez użycie żywych barw.

NAPRAWIANIE BIELIZNY DAMSKIEJ

Delikatna bielizna damska ulega prędszemu zniszczeniu, aniżeli dawniejsza z tęższych materjałów.

Częstym powodem do rozpaczy jest łatwe rozdzieranie się górnego brzegu kombinacji czy koszuli, wykończonego jedynie przyendlowaną koronką. Ukośna listewka, którą dawniej wykończano brzegi, albo obrąbek z mereżką daleko lepiej umacniały brzeg. Dziś wystarczy schylić się, by zapiąć śniegowce, albo uczynić inny ruch, już czuje się, jak tkanina pęka i przy każdym ruchu rozdziera się dalej, osobliwie na plecach. Tak samo wątły brzeg nie daje należytej podstawy dla ramiączek i ileż razy zdarza się, że czujemy nagły chłód, co jest jeszcze niczem wobec katastrofy, jaka następuje, gdy przez przejrzystą tkaninę widać opadanie kombinacji, z powodu oderwania się ramiączka.

Wszystkim tym nieprzyjemnościom można zapobiec przez przyszycie wewnątrz, wzdłuż endlowania, wąziutkiej a mocnej tasiemki-plecionki. Brzeg będzie umocniony, a ramiączka i guziczki otrzymają silną podstawę.

Brzydko wygląda gęste cerowanie, a gorzej jeszcze łatka na delikatnej bieliźnie. Ale często można przedłużyć istnienie kosztowniejszej bielizny przez bardzo prosty zabieg. Oto wystarczy podłożyć uszkodzone, albo wytarte, miejsce mocnym ale niezbyt gęstym tiulem i przycerować go delikatnie najcieńszemi nićmi. Przy starannem wykonaniu naprawka będzie zupełnie niewidoczna.

Z. KULCZYCKA

KSIĄŻKI O GOSPODARSTWIE

W pogoni za niezdrową sensacją, za tym dziwnym odurzającym haszyszem, jakich przywykliśmy ostatnio doszukiwać się w książce, zapominamy często, że od książki można zażądać nietylko „lektury", ale i pomocy w nieświadomości, nauki podanej z tą niewyczerpaną cierpliwością, na jaką tylko papier drukowany zdobyć się może. Książka leży cichutko, nie naprasza się ze swą mądrością, a jej pogodne oblicze jakgdyby mówiło: „Brak ci fachowych wiadomości, napotykasz trudności techniczne w swym zawodzie? — Oto jestem, weź mię do ręki, a treść we mnie zawarta niejedno ci ułatwi, a nadewszystko oszczędzi twoich sił".

To głos książki. Tak. Dostępna jest pomoc jej dla wszystkich. Jedyną trudnością bywa to, aby w chwilach rozbieżności, spowodowanych owym brakiem należytego przygotowania fachowego, odnaleźć właściwą książkę, którąby braki nasze uzupełniła, a wątpliwości rozwiała.

Ostatnio silnie ożywił się ruch piśmienniczy w dziedzinie zagadnień gospodarczych. Kobiety oceniły dojmujące braki tak teoretyczne jak i praktyczne gospodarstwa domowego i zakrzątnęły się energicznie, aby czas stracony nadrobić.

I oto wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, z głęboko tajoną obawą o pokupność książek, a z pozorną brawurą, odważyło się na wydanie w krótkim bardzo odstępie czasu Michaliny Ulanickiej — „Prowadzenie domu" i Kamili Chołoniewskiej — „Gospodarstwo domowe i kuchnia racjonalna". O tej ostatniej nowości pragnę szerzej pomówić.

Pani Chołoniewska jako inspektorka oświatowa wydała ją w postaci „podręcznika dla szkół i gospodyń" i nie wątpię iż jako pierwszy tego rodzaju podręcznik w języku polskim książka ta spełni swe zadanie zarówno w szkołach średnich, jak i wśród gospodyń, które okres zdobywania wiedzy mają poza sobą, a tem dotkliwiej odczuwają braki systematycznej nauki o gospodarstwie domowem.

„Gospodarstwo domowe i kuchnia racjonalna" zawiera w sobie syntezę wiadomości z tych dziedzin. W prostej i przystępnej formie zaznajamia czytelnika z wartością i znaczeniem środków żywnościowych i spożywanych przez nas pokarmów dla organizmu ludzkiego. Cel odżywiania jest dwojaki: 1) dostarcza organizmowi substancyj odbudowujących, oraz 2) wytwarza potrzebną mu siłę i ciepłotę. Aby to wykazać jak najwyraźniej, p. Chołoniewska rozbija pokarmy na ich składniki odżywcze: a) substancje białkowe, albo azotowe, b) sole, c) wodę, d) węglowodany, e) tłuszcze i f) witaminy, określając zasadnicze wartości kaloryczne środków odżywczych.

Czytelniczka nawet się nie orjentuje, że wertując kolejne rozdziały przyswaja sobie wiadomości z chemji, fizyki, biologji, anatomji, fizjologji, higjeny, które gdyby jej kto kazał studjować poszczególnie odstraszyłyby ważnością zewnętrznej szaty.

Niezwykle cenne są uwagi — „kiedy mamy jeść i w jakich ilościach", gdyż do życia i utrzymania zdrowia nie wystarcza nawet t. zw. należyte odżywianie, trzeba bowiem, aby składało się ono z pokarmów dla danej jednostki koniecznych i aby było przyjmowane w odpowiednich proporcjach.

Inaczej jedzą dzieci i dorośli. A dorośli znów muszą normować swe pożywienie w zależności od stanu zdrowia, rodzaju pracy, wagi ciała (im więcej człowiek waży, tem więcej musi jeść), także klimatu, wreszcie od przyzwyczajenia. W jednych rodzinach jada się więcej, w innych mniej, więc żołądek dostosowuje się do ilości dostarczonego mu pokarmu, inaczej mówiąc, rozpycha się. Określając dobór środków żywności, autorka podkreśla, iż muszą one posiadać oprócz własności odbudowujących niszczejące tkanki naszego organizmu także własności nasycające i nerwowo podniecające wraz z pewną ilością celulozy, jako mechanicznego czynnika, pobudzającego jelita do pracy. Uwzględniona tu jest również kalkulacja cen produktów, która powala nawet przy bardzo skromnych środkach finansowych stosować rodzaje pożywienia najkorzystniejsze dla organizmu.

Dalej mamy ogólne zasady przyrządzania środków żywnościowych z całym szeregiem praktycznych i wypróbowanych przepisów. Silny nacisk położony jest na organizację pracy w gospodarstwie domowem, która tak zaoszczędza osobom pracującym czas, energję, środki i miejsce. Zasadniczą rzeczą jest właściwy poziom pracy, a normować można go bardzo łatwo wysokością zgiętego łokcia danej jednostki, od którego powinien być o 5 cm niżej. Trzeba pamiętać, że wadliwa pozycja nietylko pracy naszej nie usprawnia, lecz obniża jej dokładność, przedłużając czas trwania i powiększając wysiłek.

Nie brak w podręczniku nowoczesnych przyrządów i urządzeń, racjonalnych planów kuchni, tablic własności trawiennych i witaminowych pokarmów, podziału mięsa na poszczególne gatunki, jest również preliminarz roczny przy kilku skalach dochodowych, wzór dzienniczka miesięcznego w gospodarstwie oraz wzór inwentarza.

W krótkości omówione jest przechowywanie środków żywności, podawanie i spożywanie posiłków, a także racjonalne zużytkowanie resztek, porządki domowe, sezonowe i codzienne wraz z praniem i konserwacją bielizny.

Nie pominięty jest nawet strój, jaki przywdziać należy do pracy, jest to dowodem jak drobiazgowo przemyślała autorka swą pracę i jak umiejętnie skondensowała wszystkie wiadomości zasadnicze, aby całokształt ich zamknąć w objętości niewielkiej, a tak nieocenionej książeczki.

Na zakończenie nadmienię dla uzupełnienia nowości gospodarczych, iż wyszło drugie poprawione wydanie „Kuchni powojennej" — pani Elżbiety (Kiewnarskiej), oraz „Książka rachunkowa kobiety polskiej" tejże autorki.*

MARJA ANKIEWICZOWA

* Wymienione w artykule książki są do nabycia w Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Akademicka 2 — Warszawa, Wilcza 3. Ponadto wydawnictwa: Ochorowicz-Monatowa: „Uniwersalna książka kucharska"; J. Czarnota: „Kuchnia jarska"; M. Wiśniewska: „Torty i ciasta domowe"; te trzy ostatnie książki otrzymać można na dogodne spłaty. Prospekty na żądanie.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

ZAPUSTY od niezliczonych lat nie zmieniają swoich zwyczajów przynajmniej w głównych zarysach. Zawsze jednakowem wzięciem cieszą się pieczywa smażone na smalcu, gorące napoje

i zimny bufet, który od pewnego czasu wzbogaca się sałatkami z mięsa, ryb, jarzyn i owoców. To też popyt na przepisy na sałatki jest stale duży. Chcąc zadośćuczynić życzeniom naszych Czytelniczek podajemy znowu kilka sałatek.

SAŁATA Z WŁOSKIEGO MAKARONU. Ugotowany makaron pokrajać, dodać pokrajaną w paski szynkę, tarty szwajcarski ser, soli, pieprzu i odrobinę śmietany. Przybrać paskami szynki i sera.

INNA SAŁATA Z KARTOFLI. Ugotowane w łupie kartofle obrać, pokrajać w paseczki i zalać gorącym rosołem. Pokrajać ćwikłę i ugotowany seler, duży kiszony ogórek i jakieś wędliny, jak np. ozór, wędzonkę, kiełbasę, wszystko w paseczki i wymie-



szać z kartoflami. Nakoniec dodać sos majonezowy, sporządzony jak poprzedni. Ułożyć kopiasto na półmisku, przybrać gwiazdkami z ogórka, ćwikły i plasterkami cytryny oraz zieloną pietruszką.

SAŁATA ZE ŚLEDZIAMI. Ugotować ½ kg kartofli nieobranych, następnie zdjąć łupę i przetrzeć przez sito. Wymoczone śledzie 2 duże, albo 3 mniejsze, oczyścić z ości i skórki i pokrajać drobno. Zamieszać majonez z 2 żółtek i ½ kwaterki oliwy, poso-



lić, popieprzyć, dodać octu do smaku. Wymieszać ze śledziami i kartoflami, wcisnąć masę do małych, wypłókanych zimną wodą foremek i wyrzucić na półmisek wyłożony plasterkami kiszonych ogórków i buraków ćwikłowych. Każdą foremkę przybrać paseczkami śledzia ułożonemi nakrzyż i gwiazdką z ogórka.

SAŁATA OWOCOWA. Pokrajać winne jabłka w plasterki, pomarańcze również, utrzeć orzechy włoskie, pokrajać figi i daktyle w paseczki, ułożyć warstwami w szklanej salaterce, przesypując cukrem do smaku, pokropić maraschino, albo rumem.

KREM PONCZOWY. Ucierać 6 żółtek z 20 dkg mączki cukrowej przez 30 min. Dodać 3 dkg żelatyny rozpuszczonej w szklance ponczu i pianę z ubitych białek. Przy wymieszaniu dorzucić dokładnie osączone konfitury. Podać zastygłe w kieliszkach, przybrane czubkiem z ubitej śmietanki kremowej.

BARDZO ORYGINALNA SAŁATKA W JABŁKACH. Jednakowej wielkości duże winne jabłka wydrążyć na wzór lejka, ostrożnie obrać i gotować przez kilka minut w wodzie z sokiem cytrynowym. Następnie włożyć do zimnej wody. Posiekać wymoczone śledzie, cebulę, kiszony ogórek, dodać utartej ugotowanej kartofli, posiekane środeczki z jabłek, musztardy, soli, pieprzu do smaku. Tą masą napełnić ostrożnie jabłka. Ułożyć je na półmisku i przybrać plasterkami cytryny, oraz owocami z octu.

POTRAWY Z KAPUSTY. Z jarzyn zimowych najdłużej da się przechować kapusta. Jej wartość odżywcza jest mała, ale zawartość witamin i soli czyni z niej artykuł spożywczy wysokiej wartości. Szczególnie w stanie surowym i kiszonym zawiera ona wartościowe składniki, które podczas gotowania częściowo albo zupełnie zanikają. Dlatego powinniśmy spożywać jak najwięcej surowej kapusty.

PONCZ ŚMIETANKOWY. Zagotować 1 l śmietanki z 3 łyżkami cukru. Ubić 4 żółtka w kwaterce śmietanki, wlać stopniowo do gorącej śmietanki, nakoniec dodać kwaterkę araku.

PONCZ Z WINA. Zagrzać ale nie zagotować butelkę czerwonego wina z 10 dkg cukru. Dolać 2 l kipiącej wody, nakoniec 1½ flaszki araku i sok z 1½ cytryny.

SAŁATA Z SUROWEJ CZERWONEJ KAPUSTY. Poszatkować główkę, posolić, gdy postoi, wycisnąć i zmieszać z oliwą, sokiem cytrynowym i pieprzem do smaku. Po 2 godzinach podać.

Inny sposób. Poszatkowaną kapustę polać śmietanką, posolić, dodać łyżkę miodu i wymieszać. Obie sałaty można sporządzić z białej kapusty.

Inny sposób. Poszatkować kapustę, posolić, wycisnąć lekko, pokrajać kilka cebulek, dodać śmietany albo oliwy i pieprzu do smaku, pokropić sokiem cytrynowym.

TOWAROZNAWSTWO

Zwierciadeł nie powinno się wystawiać na działanie promieni słonecznych, wpływających ujemnie na ich czystość.

Rola luster jako reflektorów jest znana; z ich pomocą można pomnożyć siłę światła, np. przez klosze zwierciadlane na lampy, odbijające światło żarówki silnie na ograniczoną przestrzeń np. nad stołem do pracy albo nad biurkiem. W ten sposób można wzmocnić siłę świetlną mniejszej żarówki, a co za tem idzie, zmniejszyć koszt światła.

Lustra powiększające służą w codziennem użytku do golenia, zaś dbałe o swą cerę panie badają przy ich pomocy usterki, które w zwykłem zwierciedle są niedostrzegalne, ale spostrzeżone wczas alarmują czujność i powodują zapobieżenie większym szkodom.

Nie leży w naszym zakresie omówienie zastosowania luster w innych dziedzinach, jak tylko w użyciu domowem, choć odgrywają one rolę na wielu innych polach.

Obrazy. Trudno dać ogólne wskazówki w sprawie kupna obrazów. Można się jedynie ograniczyć do kilku uwag możliwie objektywnych, dotyczących ogólnie obowiązujących względów estetycznych, gdyż sztuka jest dziedziną, w której panuje mniej lub więcej wyrobiony smak estetyczny, a niekiedy — moda.

Ta ostatnia właśnie przepisuje obecnie bardzo małą ilość obrazów. Minął okres, kiedy zapełniało się ściany szczelnie obrazami, często wątpliwej wartości artystycznej. Obecnie poświęca się dużo starań artystycznemu malowaniu albo tapetowaniu ścian, zaś obrazów wiesza się mało; czasem jeden tylko cenny obraz zdobi pokój, albo dużą powierzchnię ściany.

Kto nie zna się na obrazach, powinien przy kupowaniu zasięgnąć rady znawców. Niestety, dużo osób jeszcze nie wie, że nie rozmiary ani barwy, czy też olejna technika obrazu stanowią o jego wartości. Jakkolwiek powinniśmy się starać o posiadanie oryginalnych prac dobrych artystów, musimy pamiętać, że nie każdy ręcznie namalowany obraz nadaje się do powieszenia i że często artystyczna reprodukcja przewyższa wartością ręczną miernotę. Musimy jednakowoż przestrzec przed olejodrukami, które swego czasu „zdobiły" ściany mniej zamożnych sfer, mających „salony" ze stereotypowemi obrazami „pendants", zazwyczaj okropnemi olejodrukami w pretensjonalnych ramach.

Artystyczne reprodukcje dobrych obrazów stoją niekiedy na tak wysokim poziomie, że można je śmiało umieścić na ścianie, chociażby nie nęciły kolorytem, ani wspaniałemi ramami, których ozdoby odlatują przy każdem przenoszeniu.

Dobór ram również wymaga wyrobionego smaku. Niezawsze właściciel sklepu z ramami może radzić; uczyni to znowu najlepiej artysta, albo ktoś znający się na harmonji barw, na perspektywie i na tem, że ramy mogą uwydatnić piękno obrazu albo je przyćmić. I tak niekiedy mały obraz zyska przez bardzo szerokie ramy, które pogłębiają jego perspektywę, innym razem znowuż duży obraz potrzebuje stosunkowo wąskich ram, żeby motyw silniej wystąpił. To samo tyczy się passe-par-tout. Coraz częściej widuje się akwarele i pastele oszklone bez passe-par-tout, zaś z drugiej strony spotyka się olejne obrazy za szkłem, co daje nieoczekiwany efekt.

Ramy przeważnie są wyrabiane z gipsu na drewnianych listwach. Rzadziej spotyka się ramy rzeźbione z drzewa, gdyż są oczywiście droższe, ale zato bardzo trwałe.

Olejne obrazy są zazwyczaj naciągnięte na ramach klinowych. Zdarza się jednak, że dyletanci dają do oprawy płótna nienaciągnięte. Powinni wtedy żądać, żeby je ostrożnie naciągnąć na ramy klinowe, gdyż naklejanie na tekturę, zwłaszcza większych płócien, naraża je często na paczenie się pod wpływem wilgoci, pary i t. p. C. d. n.

Wpływ zimna na tłustą cerę i ręce

Jak Panie o tem myślą...

„Blisko od ½ roku używam „Suchy Shampoon z Czarną Główką“, środek do mycia głowy bez wody i mogę tylko moje zadowolenie wyrazić. Jest to naprawdę zawsze gotowy pomocnik!“

(Pani Irena S. w B.)

„Bardzo ładnie puszystym i falującym staje się mój włos przez napudrowanie Suchym Shampoonem z Czarną Główką“.

(Panna Elsa B. w L.)

Nie chciałaby też i Pani raz spróbować?

Oryginalne zielone pudełko z praktycznym puszkiem za zł. 2,50 starczy miesiącami.

Saers „99”

Poprzez długie wieki, aż po dzień dzisiejszy, towarzyszy człowiekowi pragnienie piękna i dbałość o swój zewnętrzny wygląd. Jakże stara jest ta prawda — a jednak młoda, bo wciąż się odradzająca w duszy człowieka gorącem pragnieniem usunięcia i oddalenia od siebie szpetności. Ale natura ma swe wybryki i czasem zwierciadło zasmuci młodą twarz. Niezależnie od woli naszej i przeciw nam, wyrzuca skóra wągry, delikatną cerę potnie wiatr i szorstką uczyni, przykra czerwoność pokryje dawny mat i gładkość. Wiedza przychodzi nam wówczas z pomocą, i byłaby swą głębią i mocą zniszczyła i zwalczyła szpetność, która czyha i coraz nowych ofiar szuka, gdyby chciwość i zachłanność ludzka nie tumaniła i zalecała bezwartościowe preparaty. Powoli, krok za krokiem, wypiera wiedza owe żerujące na łatwowierności ludzkiej kosmetyki, dając skuteczne i łatwe w zastosowaniu środki. Jedna z największych firm francuskich, wprowadziła na nasz rynek t. z. „Saers Creme 99“, który swą przedziwną moc w zwalczaniu szpetności, czerpie w wieloletniem doświadczeniu i erudycji chemików. Pod cienką warstewką wspomnianego kremu, jak za tarczą ochronną, kryje się bezpiecznie twarz przed wiatrem mrozem i innemi szkodliwemi czynnikami, atmosfery. — Szpetne i dokuczliwe wągry, szorstkość i czerwoność, już po 3 do 4-krotnem użyciu „SAERS CREME 99“, ustępują miejsca tak upragnionej gładkości, czyniąc cerę aksamitną. Miła woń tego kremu i mat jaki daje twarzy, przywraca jej właściwy, wolny od wszelkich wybryków skóry, estetyczny wygląd. Dzięki swej skuteczności, kroczy „Saers Creme 99“ zwycięsko naprzód, wypierając wszelkie inne bezwartościowe preparaty i zdobywając sobie całą rzeszę zwolenników.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

POLONISTKA. — Dla obrony czystości języka polskiego powstało: Koło Przyjaciół „Poradnika Językowego“. Pod przewodnictwem prof. Kryńskiego odbyło się w Warszawie organizacyjne posiedzenie Koła Przyjaciół „Poradnika Językowego“, miesięcznika wychodzącego pod redakcją prof. Romana Zawilińskiego, od r. 1901. — „Poradnik Językowy“ objaśnia w jak najprzystępniejszy sposób zjawiska językowe, przypomina zasady i prawa, usuwa wątpliwości i niepewności w poprawnem użyciu języka i tym sposobem prostuje błędy, — przez skrzętne zaś zapisywanie nowych zjawisk jest kroniką bieżących faktów z życia i rozwoju mowy polskiej. — „Poradnik Językowy“ walczy z trudnościami finansowemi od pierwszej chwili swego istnienia i z tego powodu był zmuszony niejednokrotnie przerywać swoją działalność, a tylko dzięki zapałowi i podziwu godnej wytrwałości oraz niezmożonej pracy prof. Romana Zawilińskiego, mimo wszystko wydawnictwo utrzymało się na powierzchni. Adres redakcji: Kraków, Podwale 7.

ZENTA. — Rozdzielanie paczek, wysyłanych do Legji Cudzoziemskiej w Afryce, odbyło się dopiero w drugiej połowie stycznia. Zapewne redakcja otrzyma spis nazwisk ofiarodawczyń i wymieni je w piśmie, jak to dotychczas było z wysyłką książek i czasopism. Pozatem może Pani wysłać zapytanie na adres, na który paczka odeszła. Tymczasem zaś redakcja „Świata Kobiecego“ serdecznie Pani dziękuje za dobre serce i pamięć o tych, którzy tak bardzo tego potrzebują. Czy nie chciałaby Pani nawiązać korespondencji? Mamy adresy.

ROZKARNAWAŁOWANA. — Nie, nie musi Pani szyć „ogoniastych sukni. Przy umiarkowanej długości można wyglądać i modnie i szykownie. Moda jest tak wspaniałomyślna, że podaje prócz ogoniastych i krótsze modele. Zatem od rozsądku kobiety zależy wybór fasonu.



1043

Z NADESŁANYCH KSIĄŻEK

Wydawnictwa J. Mortkowicza, Warszawa. —

„Najpiękniejsze baśnie“ Andersena. Nowy pełny przekład pod redakcją Janiny Mortkowiczowej z jedno i wielobarwnemi ilustracjami Kay Nielsena. Dwa tomy po 25 zł. Duży format, duże wyraźne czcionki, piękny papier bezdrzewny, zbytkowna czerwona oprawa, prześliczne czarne i barwne ilustracje na osobnych planszach — czynią z tego wydawnictwa prawdziwie artystyczną całość.

Zofja Żurakowska: Roman i dziewiętnastu. 141 str.

Tejże. Fetysz. 119 str. — Dwie nowe książki jednej z najbardziej utalentowanych autorek dla młodzieży.

B. Bobrowska: Janek w Legjonach. Bibljoteka Iskier T. XXX. Książnica-Atlas. 1930. — Powieść ta została w r. 1917 w pierwszem wydaniu zakazana przez cenzurę niemiecką. Treść jej stanowią przeżycia młodziutkiego ochotnika legjonisty i wpleciona w nie historja dziecka unickiego, które nieświadomą zdradę okupiło bohaterską śmiercią. Celem, który przyświecał autorce przy pisaniu tej książki, była chęć podniesienia młodzieży na wyższy poziom etyki społecznej przez przypomnienie jej, że ponad interes osobisty należy przenieść interes narodu i państwa i że bohaterstwo w pewnych wypadkach jest prostym obowiązkiem.

„Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie“ podają w n-rze lutowym szereg pierwszorzędnych prac. Dr. Chybiński zamieszcza znakomity artykuł na temat krytyki muzycznej, K. Stromenger żywo i barwnie pisze o plagjatach muzycznych, Dr Reiss drukuje dokończenie swej cennej rozprawy p. t. „Ideologja dzisiejszej muzyki“, M. Opałek podaje ciekawe szczegóły w historyczno-obyczajowym szkicu „Kobieta i harfa“, Cz. J.-Kozłowski pisze o Wacławie Borowym, K. Czachowski o „Bibljotece Boya“. Recenzje, sprawozdania i kronika uzupełniają numer tego wartościowego pisma, które pod świetną redakcją Wł. Gołębiowskiego rozwija się coraz piękniej i budzi rzetelne zainteresowania wśród miłośników muzyki i literatury.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34